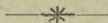


I. 2. 071. 266

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10	Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie . (za 26 tomów)	„ 8 „ —
Kwartalnie. (za 13 tomów)	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

28476

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 317

58
1005

Życie wyteżone.



PRZEZ

T. ROOSEVELTA

w przekładzie
i z przedmową

Ludwika Włodka.



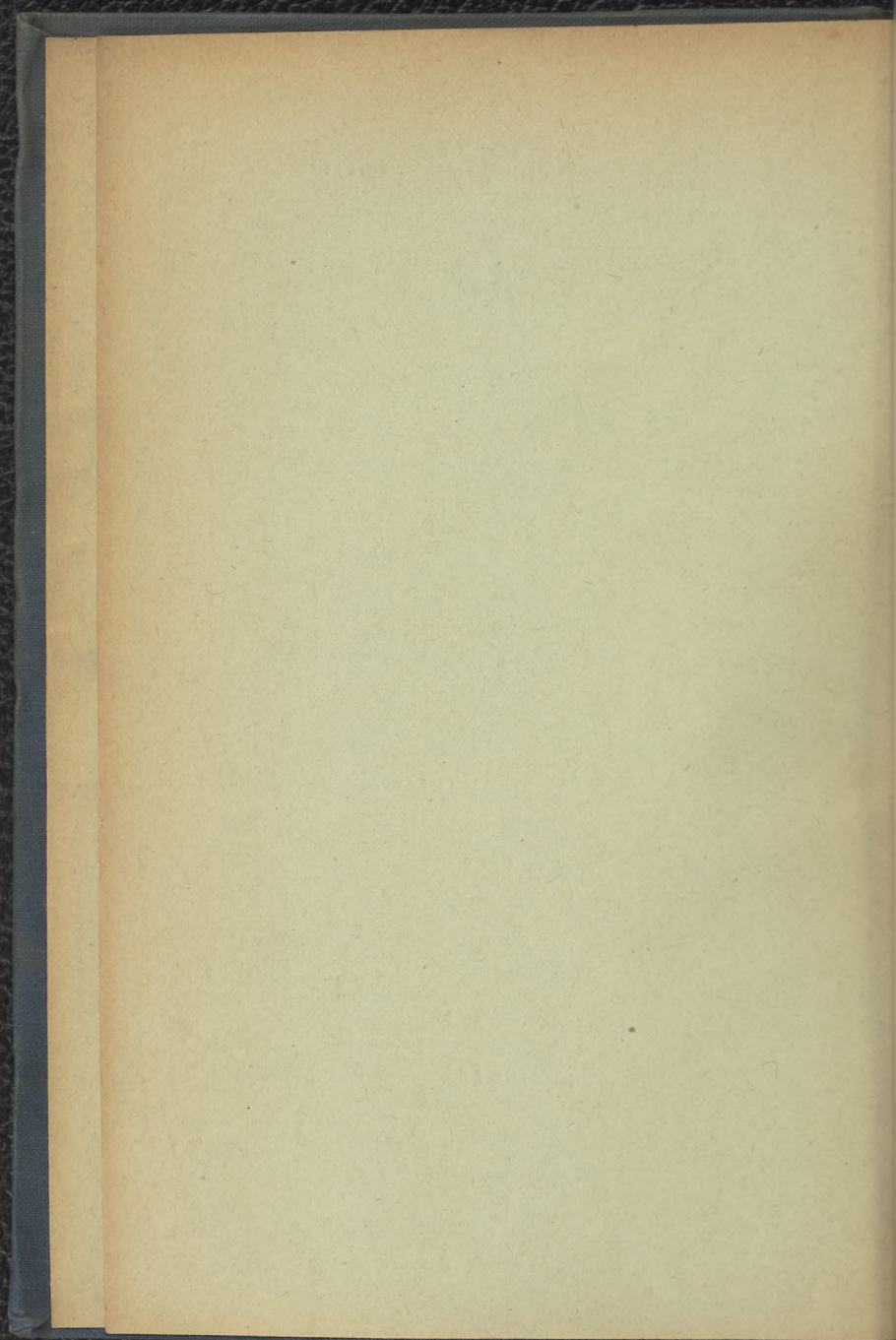
Cena 40 kop

W pren. 30½ kop.

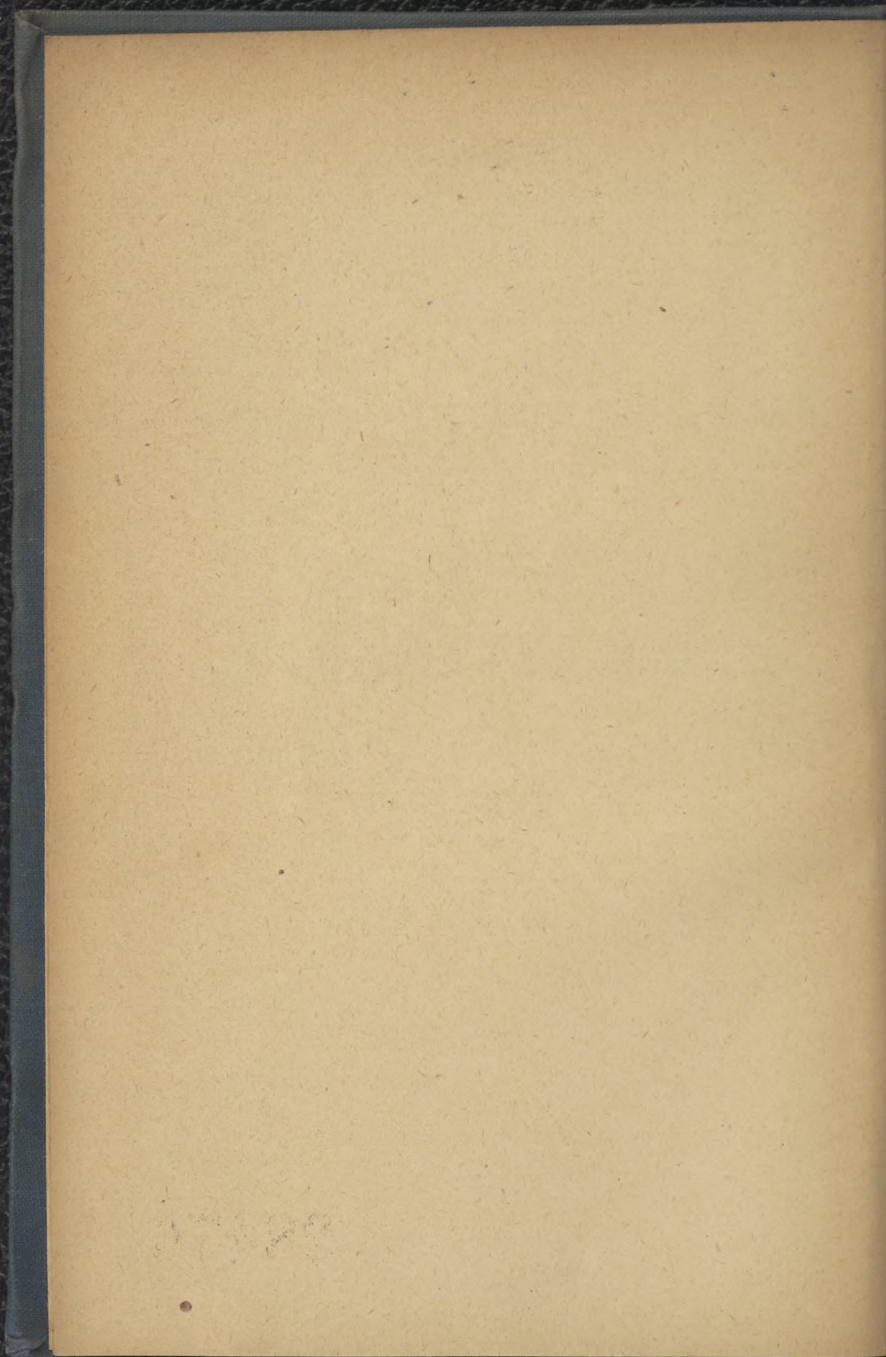
WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja
14. Warecka 14.

—
1904.



ŻYCIE WYTEŻONE.



T. ROOSEVELT.

(Prezydent Stanów Zjednoczonych
Ameryki Północnej).

ŻYCIE WYTEŻONE.

W przekładzie
i z przedmową

LUDWIKA WŁODKA.



WARSZAWA.

Drukiem A. T. Jezlerskiego

Nowy-Świat 47.

—
1904.

28476

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001850694

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Января 1904 года.



I 2.071.266



PRZEDMOWA.

Teodor Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, znany jest czytelnikom *Biblioteki dzieł wyborowych*, jako pełen prostoty i mallowniczości pisarz, autor *Życia hodowców amerykańskich*, które dzielił i które upodobał sobie na niezmiernych preryach Stanów.

Ten wybitny polityk, ten dawny hodowca i propagator twardego życia na świeżem powietrzu w walce z różnemi przeciwnościami, jest także wybitnym myślicielem politycznym i społeczno-obyczajowym. Takim nie zna go jeszcze czytelnik polski i z takim Rooseveltem chcemy go zapoznać w tomiku niniejszym.

Zbiór prac jego nosi tytuł „Życie wyteżone”, bo w tych słowach streszcza się i cel jego dążeń i rdzeń jego filozofii życiowej. Cóż oznacza owo życie wyteżone?—oto życie pełne nieustannego wysiłku, znoej pracy, życie nieustannych zdobyczy, życie, które nie zna wypoczynku, nie zna kresu swoich dążeń, nie zna wyrazu „dosyć”. W zastosowaniu do jednostki przepisy te są zupełnie wyraźne i zrozumiałe; streszczają one w sobie całą historję Ameryki od czasu wyładowania surowych purytanów, historję walk z nieprzebytymi puszcza mi leśnemi, z żywiołami. W zastosowaniu do społeczeństwa będą to przepisy nieustannego ulepszania ustroju wewnętrznego, usiłowania podnoszenia poziomu obywatelskiego, walka o prawo i o szczęście, bo, zdaniem Roosevelta, nie może być szczęścia w bezprawiu. W zastosowaniu wreszcie do innych społeczeństw będzie to walka o cywilizacyę, o rozszerzenie jej zakresu, walka o zdobycie dla innych

ludów podstaw tego rozwoju, które mają Stany Zjednoczone. W oświetleniu prezydenta Roosevelta polityka t. zw. zaborcza jest pro prostu nieuchronną walką cywilizacji z barbarzyństwem, prawa z bezprawiem, światła z ciemnotą, ładu z anarchią.

Ta doktryna zdobywcza, energiczna, surowa mogłaby stać się niebezpieczną, gdyby nie równoważyły jej wybitne względy moralne. Autor tej książki zdaje sobie z tego sprawę doskonale i nieustannie z naciskiem podkreśla, że w walce, która ostatecznie jest treścią życia, należy używać tylko środków godziwych. Dążenie do prawdy, prawość, uczciwość — pojęcia te przewijają się poprzez wszystkie rozdziały książki, nadają jej znamię szczególnie moralne.

Ztąd też — po za uzasadnioną ciekawością poznania poglądów, kto wie, czy nie najwybitniejszego dziś męża stanu — płynie z tej książki główna korzyść dla polskiego czytelnika. Dobrze jest zawsze przeciwstawić własnej zniewieściałości, łagodności i niedołęztwu zdrowe i mocne cnoty amerykańskie. Dobrze jest przekonać się o potęgę cnót czynnych w przeciwstawieniu do cnót biernych, robienia czegoś pożytecznego w przeciwstawieniu jedynie do zakazu moralnego.

Z całej książki płynie jedna wielka nauka, że w każdym z czynów naszych natrafiamy na opór, czy to innych jednostek, czy grup społecznych, czy wreszcie całego społeczeństwa i zawsze ryzykujemy, że nadwreżymy cudze interesy. Gdybyśmy więc w imię bezwzględnej pseudo-moralności, mieli wiecznie na widoku tylko interesy cudze, to musielibyśmy zaniechać wszystkich czynów; byłoby to zwycięstwo gnuśności, apatyi, lenistwa. Tymczasem życie jest i będzie walką, a podwaliną tej walki jest czyn, wytężone usiłowanie w kierunku osiągnięcia danego celu. Zatem i w życiu jednostki i w życiu społeczeństwa trzeba nieustannie wytężać wszystkie siły, nieustannie pracować dla siebie i dla ogółu.

L. Włodek.

I.

ŻYCIE WYĘŻONE.

(Mowa, wygłoszona w Hamilton-Club w Chicago, 10 kwietnia 1899 r.)

Zwracając się do was, mieszkańcy największego miasta Zachodu, mieszkańcy stanu, który dał ojczyźnie Lincolna i Granta, do was, którzy wcielacie w sposób wyraźny i przeważny to, co jest najbardziej amerykańskiego w charakterze amerykańskim, chciałbym zalecać wam nie zasady nikczemnego próżniactwa, ale doktrynę życia wyężonego, życia znoju i wysiłku, pracy i walki, chciałbym głosić najwyższą formę powodzenia, przypadającego w udziale nie człowiekowi, który dąży tylko do wygodnego spokoju, ale człowiekowi, który nie unika niebezpieczeństwa, trudności, gorzkiego trudu i który wyciąga z nich wspaniały i ostateczny tryumf.

Życie leniwego spokoju, który pochodzi tylko z braku możliwości lub chęci wysiłku w kiernnku wielkich zadań, jest również mało godne narodu, jak jednostki. Żądam tylko, aby wszystkiego, czego wymaga szanujący się Amerykanin od siebie lub swoich synów, domagał się naród amerykański, wzięty jako całość.

Któż z was pragnąłby nauczać swoich synów, że ostatecznym celem wysiłku, że najważniejszym względem w ich oczach ma być pokój? Wy, mieszkańcy Chicago, zrobiliście wielkiem to miasto; wy, ludzie z Illinois, uczyniliście wielką Amerykę w miarę waszych sił, a nawet więcej, a sprawiliście to dlatego, że nie głosicie i nie spełniacie tej doktryny. Pracujecie sami i synów waszych wychowujecie do pracy.

Jeżeli jesteście bogaci, uczycie waszych synów, że chociaż mogą mieć czas wolny, to nie powinni zużytkowywać go na próżniactwo, bo umiejętne korzystanie z wolnych chwil znaczy tylko tyle, że ludzie, zwolnieni od przymusu pracy zarobkowej, są tembardziej zobowiązani oddawać się pracy bezinteresownej w nauce, w sztuce, w badaniach, w poszukiwaniach historycznych — słowem, w tych dziedzinach, których kraj najbardziej potrzebuje i których pomyślny rozwój przynosi narodowi najwięcej zaszczytu. Nie zachwycamy się człowiekiem nieśmiałego pokoju. Zachwycamy się człowiekiem, który wciela w sobie wysiłek zwycięzki, człowiekiem, który nigdy nie czyni nic złego bliźniemu swemu, który jest chętny do pomocy przyjacielowi, ale który ma zalety mężkie, konieczne do zwycięstwa we współczesnej, surowej walce o byt.

Przykrem jest niepowodzenie, ale stokroć gorszym jest brak próby powodzenia. W życiu dochodzimy do wszystkiego tylko za pomocą wysiłku. Uwolnić się od wysiłku, obecnie — znaczy poprostu, że w przeszłości była nagromadzona pewna suma usiłowań.

Człowiek może być zwolniony od konieczności pracy tylko z mocy tego, że ojcowie jego pracowali owocnie.

Jeżeli swoboda, w ten sposób zdobyta, jest dobrze używana, jeżeli człowiek oddaje się pracy, chociaż w innym gatunku, bądź jako pisarz, bądź też na polu polityki, poszukiwań lub przygód, to dowodzi tylko, że zasłużył na los szczęśliwy. Ale jeżeli traktuje okres życia, podczas którego jest zwolniony od konieczności pracy, nie jako okres przygotawczy, ale jako okres użycia, chociażby nie występnego, dowodzi wtedy poprostu, że jest zawadą na powierzchni ziemi i staje się napewno niezdolnym do zajęcia odpowiedniego miejsca między swymi kolegami, gdyby tego wymagały zmienione warunki życia. Wreszcie życie zwyczajnego spoczynku nie może dać prawdziwego zadowolenia, a nade wszystko czyni ludzi, którzy mu się oddają, niezdolnymi do poważnej pracy na świecie.

W ostatecznym rezultacie zdrowe państwo nie może istnieć, jeżeli mężczyźni i kobiety, które je stanowią, nie prowadzą życia wyraźnego, mocnego, zdrowego, jeżeli dzieci nie są wychowywane w ten sposób, że usiłują nie omijać trudności, lecz przezwyciężać je, nie szukać wypoczynku, lecz wiedzieć jak wydzierać zwycięstwo wśród znoju i ryzyka.

Mężczyzna powinien z zadowoleniem spełniać dzieło męża, mieć śmiałość znosić wszystko i pracować. Kobieta winna być gospodynią, towarzyszką założyciela ogniska, matką mądrą i nieustraszoną dzieci zdrowych i licznych.

W jednym ze swoich dzieł potężnych i peł-

nych melancholii Daudet mówi o „obawie macierzyństwa, o strachu, nawiedzającym młode mężatki współczesne”. „Skoro takie słowa mogą być napisane bez kłamstwa o narodzie, to naród ten jest zepsuty do szpiku kości. Jeżeli mężczyźni lękają się pracy, lub wojny sprawiedliwej, a kobiety boją się macierzyństwa, to stoją na progu potępienia i byłoby dobrze, gdyby zniknęli z powierzchni ziemi, gdzie są przedmiotami pogardy sprawiedliwej dla wszystkich mężczyzn i wszystkich kobiet, którzy są sami mocni i wielkoduszni.

Z narodami dzieje się to samo, co z jednostkami. Mówić, że narody szczęśliwe nie mają historii, jest to popełniać niski występki przeciwko prawdzie. Potrójnie szczęśliwym jest naród, który ma sławną historię, lepiej bowiem jest mieć odwagę do wielkich rzeczy, odnosić pełne chwały zwycięstwa, chociażby były przeplatane porażkami, niż stać w jednym szeregu z temi biednymi ludami, które nie wiele cierpią i nie wiele się radują, gdyż pędzą życie w czarnym mroku, który nie zna ani zwycięstw, ani porażek. Gdyby w r. 1861 ludzie, którzy kochali „Związek Stanów”, uważali pokój jako ostateczny cel wszechrzeczy, a wojnę za najgorszą ze wszystkiego, i gdyby postępowali byli według takiego przekonania, byłibyśmy oszczędzili setki tysięcy ludzi i setki milionów dolarów. Więcej nawet: oszczędzając skarby krwi i pieniędzy, które rozrzucaliśmy wówczas, byłibyśmy zapobiegli pęknięciu wielu serc niewieściech, rozerwaniu wielu ognisk domowych i byłibyśmy oszczędzili krajowi miesiące żałoby i wstydu, podczas których zdawało się, że wojska nasze

idą na klęskę. Mogliśmy byli uniknąć tych cierpień, unikając poprostu walki. I gdybyśmy jej byli uniknęli, byłibyśmy dowiedli, że jesteśmy samiczkami, że jesteśmy niezdolni do zajęcia miejsca wśród wielkich narodów świata. Dzięki Bogu za żelazo, które umieścił w krwi ojców naszych, tych ludzi, którzy popierali mądrość Lincolna i nosili miecz lub karabin w armiach Granta! My, dzieci tych, którzy doprowadzili wielką wojnę domową do tryumfalnego zakończenia, którzy pokazali, że stoją na wysokości tych dni potężnych, chwalmy Boga ojców naszych, że nikczemne rady pokojowe były odrzucone, że bez wahania stawiano czoło cierpieniom i stratom, mrokom żalu i rozpacz; bo ostatecznie niewolnik został wyzwolony, „Związek” — odbudowany, a potężna rzeczpospolita jeszcze raz umieszczona jak królowa między narodami.

My, ludzie współcześni, nie mamy potrzeby stawiać czoła zadaniom takim, jakie czekały ojców naszych, ale mamy swoje obowiązki i biada nam, gdybyśmy zaniedbali ich spełnienia. Gdybyśmy nawet chcieli, nie możemy odgrywać roli Chin i zadowalać się powolnym gniciem w nikczemnym zastoju, zamknięci w naszych granicach, nie zajmując się zgoła tem, co się dzieje po za niemi, pogrążeni w komercyalizmie, który porusza rękami i nogami, nie dbając o życie wyższe, o życie dążeń, pracy i ryzyka, zajęci tylko potrzebami codziennymi naszego ciała, aż nareszcie pewnego dnia spostrzeżlibyśmy, bez cienia wątpliwości, to, co Chiny już odkryły, a mianowicie, że na tym świecie naród, który przystosował się do życia odosobnionego spoczynku bez wal-

ki, jest ostatecznie przeznaczony do ukorzenia się przed innemi narodami, które nie straciły zalet meżkich i awanturnicznych. Jeżeli istotnie mamy być wielkim narodem, musimy szczerze usiłować odegrać wielką rolę na świecie. Nie możemy unikać przystępowania do wielkich zadań. Wszystko, co możemy tu określić, ogranicza się do tego, czy zabierzemy się do nich źle, czy dobrze. W r. 1898 nie mogliśmy uniknąć spojrzenia oko w oko zagadnieniu wojny z Hiszpanią. Mogliśmy tylko zdecydować, czy jak tchórze usuniemy się od wojny, czy weźmiemy w niej udział, jak przystało narodowi mężnemu i gorącemu, i—raz zaangażowani—czy porażka lub powodzenie uwieńczy nasze sztandary. To samo jest teraz. Nie możemy uniknąć odpowiedzialności, która spada na nas za to, co się dzieje na Hawaj, Kubie, Porto-Rico i Filipinach. Wszystko, co możemy zdecydować, ogranicza się do wyboru sposobu, który odbije się na kredycie narodu, lub postępowania tak, że te nowe zagadnienia wypełnią ciemną i pełną wstydu kartę naszej historii. Mamy dane zagadnienie do rozwiązania. Jeżeli zdecydujemy się przystąpić do niego, to naturalnie istnieć będzie zawsze niebezpieczeństwo, że je rozwiążemy źle, ale jeżeli odmówimy rozwiązania, to zdobędziemy tylko pewność, że go nigdy nie rozwiążemy dobrze. Ludzie bojaźliwi, ludzie leniwi, ludzie pozbawieni zafania do swego kraju, wreszcie ludzie, których tępe umysły nie odczuwały nigdy tych potężnych wstrząśnień, od których „drżały cesarstwa w mózgach ludzi surowych” — wszyscy ci naturalnie sprzeciwiają się wzięciu przez naród na swoje barki nowych obo-

wiązków; sprzeciwiają się, kiedy budujemy flotę i organizujemy armię odpowiednio do naszych potrzeb, nie chcą, abyśmy spełniali część dzieła świata, wprowadzając porządek z chaosu na tych cudnych i wielkich wyspach zwrotnikowych, z których dzielność naszych żołnierzy i marynarzy wyгнаła sztandar hiszpański. Wszyscy ci ludzie boją się życia żywego, boją się jedyne go życia narodowego, które przeżyć warto. Wierzą oni w życie zamknięte, które podrywa w narodzie cnoty śmiałe, jak podrywa je w jednostkach, albo też poślubili to dążenie do zysku, niskie i chciwe, które w komercyalizmie widzi jedyną rację i cel życia narodu, zamiast rozumieć, że chociaż jest on czynnikiem koniecznym, to wszakże jednym tylko z czynników, które sprzyjają rozwojowi chwały narodowej. Żaden kraj nie może trwać długo, jeżeli jego podwaliny nie tkwią mocno w pomyślności materialnej, która pochodzi z oszczędności, z ducha energii i przedsiębiorczości w interesach, z twardego i nieustannego wysiłku na polach działalności przemysłowej; ale z drugiej strony żaden naród dotąd nie był prawdziwie wielkim, jeżeli liczył wyłącznie na pomyślność materialną. Oddajmy winną cześć budowniczym naszej pomyślności materialnej, wielkim wodzom przemysłu, którzy budowali nasze faktorie, nasze drogi żelazne, ludziom silnym, których ręce lub mózgi trzudzą się dla bogactwa — bo wielkim jest dług narodu wobec nich i wobec ludzi ich gatunku. Ale dług nasz jest jeszcze większy wobec tych ludzi, których typ najwyższy wcielił się w mężów stanu, jak Lincoln, lub w żołnierzy, jak Grant. Ci życiem swoim dowiedli, że



uznają prawo pracy, prawo walki; trudzili się, aby zdobyć dobrobyt dla siebie i dla tych, co od nich zależeli; uznali przecież, że istnieją inne, wyższe nawet obowiązki — obowiązki względem narodu, obowiązki względem rasy.

Nie możemy wiecznie pozostawać skupieni w granicach naszych i przyznawać się, że jesteśmy tylko gromadą przekupniów w dobrobycie, których nic nie obchodzi, co się dzieje po za nimi. Taka polityka nie osiągałaby nawet swego celu, bo skoro narody dochodzą do tego, że mają interesy coraz szersze, a więc muszą stykać się z sobą coraz więcej, zatem, jeżeli chcemy zachować nasze stanowisko w walce o przewagę handlową i morską, musimy budować podwaliny naszej potęgi na zewnątrz granic naszych. Musimy przekopać przesmyk, musimy wybudować kanał i zająć wygodne pozycje, które zapewnią nam prawo głosu przy rozstrzyganiu losów oceanów Wschodu i Zachodu.

To dotyczy strony handlowej. Ze stanowiska honoru międzynarodowego argument byłby jeszcze silniejszy. Armaty, które grzmiały pod Manillą i Santiago pozostawiły po sobie echa sławy naszej, ale także spuściznę obowiązków. Gdybyśmy wykorzenili tyranię średniowieczną, aby na jej miejscu postawić tylko dziką anarchię, byłibyśmy zrobili lepiej, nie rozpoczynając wcale tego zadania. Gorzej niż zbędem jest zdanie, że nie mamy tam żadnych obowiązków do spełnienia i że możemy pozostawić swemu losowi wyspy przez nas zdobyte. Tego rodzaju postępowanie byłoby nikczemnem. Następtwem jego byłby natychmiast zamęt na tych wyspach nieszczę-

nych. Inne państwo, mocniejsze, mężniejsze byłoby zmuszone do interwencji i do spełnienia dzieła, a my wyszlibyśmy na samiczki, niezdolne do doprowadzenia do zupełnego powodzenia sprawy, którą chciwi są podjąć wielkie narody o podniosłej duszy.

Dzieło musi być spełnione; nie możemy uniknąć cięższej na nas odpowiedzialności i jeżeli mamy pewną wartość, to będziemy szczęśliwi wobec tej sposobności pracy, tej sposobności pokazania, że możemy sprostać jednemu z wielkich zadań, wkładanych przez cywilizację współczesną. Ale nie łudźmy się sami co do doniosłości tego zadania. Nie dajmy się omamić pustą chwałą, nie przeceniajmy ponad jego istotną wagę wysiłku, którego zadanie to będzie wymagało od naszych zdolności.

Nadewszystko, ponieważ stawiamy wysoko poszanowanie samych siebie, stoimy wobec odpowiedzialności z powagą, z odwagą i stanowczą decyzją, której sprawa wymaga.

Powinniśmy żądać od naszych mężów stanu, którzy mierzyć się mają z temi nowemi trudnościami, najwyższego stopnia zdolności i zręczności. Powinniśmy żądać najsurowiej zdania rachunków od tych sług publicznych, którzy okazują się niewierni interesom narodu, albo niezdolni do podniesienia się na poziom nowych, wysokich wymagań, stawianych naszym siłom i naszym środkiem.

Naturalnie, musimy pamiętać, że nie trzeba sądzić żadnego sługi publicznego na zasadzie jednego tylko czynu, a przedewszystkiem musimy strzedz się napadania na ludzi, którzy są tylko powodami, a nie przyczynami klęsk. Pozwólcie, że uwydatnię

to, co chcę powiedzieć, przykładami z armii i marynarki. Gdyby wypadło prowadzić nam wojnę przed dwudziestu laty, okazałoby się, że marynarka jest do tego równie mało przygotowana, jak armia. W owej porze statki nasze nie mogłyby się zetknąć z powodzeniem z hiszpańskimi, tak samo, jak dziś nie moglibyśmy postawić naszych żołnierzy, pomimo ich mężstwa, mało wyćwiczonych i uzbrojonych archaiczną bronią, nabitą prochem czarnym, naprzeciw wojsk regularnych, uzbrojonych w najlepszego systemu współczesne karabiny-repetyery. Ale w pierwszych latach dziewiętego dziesiątka uwaga narodu skupiła się na naszych potrzebach morskich. Kongres bardzo mądrze powziął szereg rozporządzeń, w celu stworzenia nowej marynarki; pod szeregiem sekretarzy, zdolnych i patriotów, należących do obu stronnictw politycznych, stworzono stopniowo marynarkę, aż póki jej materyał nie dorównał jej wspaniałemu personelowi, z tym rezultatem, że podczas lata 1898 roku stanęła na właściwym miejscu, jako jedna z najświetniejszych i najgroźniejszych marynarek wojennych całego świata. Słusznie i sprawiedliwie oddajemy cześć ludziom, którzy rządili marynarką w tym czasie, kiedy spełniła te wielkie czyny, oddajemy cześć sekretarzowi Longowi i admirałowi Deweyowi, kapitanom, którzy prowadzili statki w rozprawie, nieustraszonym porucznikom, którzy narażali się na śmierć w mniejszych łodziach, i naczelnikom wydziałów w Waszyngtonie, którzy czuwali, aby statki były dowodzone, uzbrojone, obsadzone załogą, zaopatrzone tak, aby dawały jaknajlepsze rezultaty. Ale pamiętajmy też zawsze, że

wszystko to nie posłużyłoby na nic bez mądrości ludzi, którzy podczas poprzedzającego piętnastolecia stworzyli naszą marynarkę. Przypomnijcie sobie sekretarzy marynarki podczas tego okresu, pamiętajcie o senatorach i deputowanych, którzy przez głosy swoje dali pieniądze, niezbędne na budowę i uzbrojenie statków, na odlanie wielkich armat i wyćwiczenie załóg; pamiętajcie też i o tych, którzy zbudowali istotnie te statki uzbrojone i armaty, pamiętajcie o admirałach i kapitanach, którzy manewrowali pancernikami, krążownikami i torpedowcami na wysokich wodach, pojedynczymi statkami i eskadrami, rozwijając zdolności morskie, artylerię, działania wspólne, które ich następcy użytkowali tak chwalebnie w Manilli i w zatoce Santiago. Ale, panowie, pamiętajcie i o stronie przeciwnej. Pamiętajcie, że sprawiedliwość ma dwie strony. Bądźcież sprawiedliwi względem tych, którzy stworzyli marynarkę i przez miłość dla kraju, przez pamięć o jego przyszłości, pamiętajcie o tych, którzy byli przeciwni jej utworzeniu. Czytajcie sprawozdania kongresu. Znajdziecie senatorów i deputowanych, którzy sprzeciwiali się kredytom na budowę nowych statków, którzy sprzeciwiali się zakupom uzbrojeń i narzędzi, bez jakich statki byłyby bez wartości, którzy byli przeciwni wszelkim subsydyom na marynarkę i starali się obcinać ilość ludzi, potrzebnych na załogi naszej floty. Ludzie, którzy to czynili, pracowali wspólnie nad sprowadzeniem klęsk na kraj. Nie spływa na nich ani cząsteczka chwały z pod Manilli i Santiago. Nie mają żadnej podstawy do dumy

z powodu wartości naszych wodzów morskich i rozgłosu naszego sztandaru. Motywy ich czynów mogły być dobre lub złe, lecz czyny były ciężko brzemienne nieszczęściami. Czynili źle dla honoru narodowego i wyszliśmy zwycięzko wbrew ich ciemnej opozycji.

Teraz zastosujmy to wszystko do dzisiejszych mężów stanu. Armia nasza nigdy nie była zorganizowana tak, jak być powinna. Przed takim audytorjum, jak wasze, nie będę zwalczał dziecinnego zarzutu, że narodowi liczącemu 70 milionów wolnych ludzi grozi utrata wolności z powodu istnienia stu-tysięcznej armii, której trzy czwarte będą użyte na pewnych obcych wyspach, w niektórych fortecach i na terytoryach indyjskich. Zaden człowiek rozsądny i mocnego serca nie może brać na seryo tego zarzutu. Jeżeli jesteście takimi samiczkami, jak to przypuszcza zarzut powyższy, to na wszelki sposób jesteście niegodni wolności. Niema w Stanach Zjednoczonych ciała zorganizowanego, któremu kraj byłby winien więcej, niż dzielnym oficerom i ludziom, zwerbowanym do armii i marynarki. Nie ma ciała, które byłoby mniej niebezpieczne dla ludu, i nie ma żadnego, z którego ten lud powinienby być bardziej dumny, żadnego, które powinniście bardziej chcieć zorganizować i podnieść.

Armia nasza potrzebuje reorganizacji zupełnej — nietylko powiększenia liczebnego — a reorganizacja może być tylko następstwem uchwały prawodawczej. Powinien być utworzony odpowiedni sztab generalny, a stanowiska oficerów artylerji,

intendentów i kwatermistrzów powinny być wyłączone z szeregów liniowych.

Nadewszystko trzeba dać armii sposobność do ćwiczeń w wielkich masach. Wtedy nie patrzylibyśmy już nigdy na generał-majorów, dowodzących dywizjami — jak to widzieliśmy w wojnie hiszpańskiej — podczas gdy poprzednio nie komenderowali nawet trzema kompaniami na placu. A jednak — rzecz nie do uwierzenia — kongres okazał dziwną niezdolność do zrozumienia niektórych nauk, płynących z wojny.

Znalazły się liczne grupy ludzi w obu stronictwach, które sprzeciwiały się wypowiedzeniu wojny, które sprzeciwiały się ratyfikacji pokoju, sprzeciwiały się utworzeniu armii, a nawet zakupieniu opancerzenia dla statków wojennych i krążowników, kładąc absolutne veto budowaniu dla marynarki statków wojennych najnowszeo typu. Gdyby w ciągu najbliższych lat armie nasze lądowe i morskie poniosły jaką klęskę i gdyby z tego powodu spadła hańba na Stany Zjednoczone, pamiętajcie, że wyrok potępienia padnie na tych ludzi, których nazwiska ukażą się po złej stronie list głosowań kongresu nad temi ważnemi sprawami.

Na nich spadnie ciężar wszystkich strat żołnierzy i marynarzy, całej hańby dla sztandaru, a na was i na lud tego kraju spadnie potępienie, jeżeli w ten, czy winny sposób nie wyrzekniecie się tego, co ci ludzie zrobili. Potępienie nie będzie ciążyło na niedoświadczonym wodzu wojsk niewyćwiczonych, na urzędnikach cywilnych ministerjum, którego organizację pozostawiono na stopie zupełnie nie-

odpowiedniej, ani na admirała, który posiadał niedostateczną liczbę statków, ale na tych ludziach publicznych, którym zbrakło przezorności do tego stopnia, że odrzucili możliwość zaradzenia złemu wczasu, oraz na narodzie, który stoi za nimi.

Więc w danej chwili znaczna część odpowiedzialności za krew, wylaną na Filipinach, za krew naszych braci i ich dzikich, a ograniczonych nieprzyjaciół spada na tych, którzy słowami swemi, bardziej niż bezsensownymi, zachęcali lekkomyślnie dziki lud do wojny, napewno brzemienną klęskami, wojny, w której nasi dzielni ludzie, idący ze sztandarem, musieli zapłacić za głupi i śmieszny humanitaryzm gadułów, którzy spokojnie zostali u siebie w domu.

Armia i manynarka są mieczem i tarczą, które naród ten nosić winien, jeżeli chce spełnić swój obowiązek między narodami świata, jeżeli nie chce być prosto Chinami półkuli zachodniej. Nasze własne postępowanie wobec wysp podzwrotnikowych, które wydarliśmy Hiszpanii, jest prosto kształtem, który w danej chwili wziął na siebie nasz obowiązek. Naturalnie mamy obowiązek dobrze zarządzać interesami naszego własnego domu. Musimy czuwać nad tem, aby w naszej administracji wewnętrznej stanów, państwa i narodu panowała uczciwość obywatelska, czystość obywatelska i zdrowy zmysł obywatelski. Musimy walczyć o uczciwość w sprawowaniu urzędów, o uczciwość wobec wierzycieli narodu i jednostek, o najszerszą swobodę inicjatywy indywidualnej tam, gdzie to jest możliwe, i o najmądrzejszą kontrolę inicjatywy indywidualnej

tam, gdzie zachowuje się wrogo wobec dobrobytu mas. Ale to, że chcemy utrzymywać porządek w naszym domu, nie zwalnia nas od obowiązku odgrywania roli w sprawach świata. Pierwszemi obowiązkami człowieka są obowiązki względem jego ogniska domowego, ale nie zwalniają go przez to od obowiązków względem państwa, bo jeżeli zaniedba tych drugich obowiązków, to grozi mu utrata swobody. Tak samo, jeżeli najpierwsze obowiązki narodu są wewnątrz jego granic, nie zwalnia go to od pełnienia obowiązków wobec całego świata: jeżeli unika takiego postępowania, to zaniedbuje prawo swoje do walki o miejsce między ludami, które budują losy świata.

W Indjach Zachodnich i na Filipinach stoimy wobec najtrudniejszych zagadnień. Usuwać się od rozstrzygnięcia ich jak się należy, byłoby tchórzstwem, bo muszą być rozstrzygnięte, jeżeli nie przez nas, to przez inną jakąś mężniejszą i mocniejszą rasę. Jeżeli jesteśmy zbyt słabi, zbyt egoistyczni, albo zbyt bezmyślni, aby je rozstrzygnąć, inny lud śmielszy i zdolniejszy musi przystąpić do rozwiązania. Osobiście zbyt mocno wierzę w wielkość mojej ojczyzny i w potęgę moich rodaków, abym na chwilę nawet przypuszczał, że kiedykolwiek czeka nas ta alternatywa nikczemna.

Zagadnienia są różne na różnych wyspach. Porto-Rico nie jest dość duża, aby mogła pozostać osamotnioną. Musimy rządzić nią mądrze i dobrze, zwłaszcza w interesie jej ludu. Kuba—zdaniem mojem—ma prawo rozstrzygać sama w ostatniej instancji: czy będzie państwem niezależnem, czy też wy-

bitną cząstką najpotężniejszej z rzeczypospolitych. Ale zanim zapanuje stały porządek i spokój, musimy pozostać na wyspie, aby ją zabezpieczyć, a nasi przedstawiciele wojskowi i cywilni muszą składać dowody taktu, zrozumienia sytuacji, umiarkowania i odwagi, utrzymując pokój, wykorzeniając bezlitośnie rozbójnictwo, opiekując się równomiernie wszystkimi, a przecież okazując właściwe uznanie tym, którzy walczyli o niepodległość Kuby. Filipiny przedstawiają zagadnienie jeszcze trudniejsze. Ludność ich składa się z urodzonych chrześcijan, pół-białych, muzułmanów wojowniczych i dzikich pogan. Wielu z ich mieszkańców jest zupełnie niezdolna do samorządu i nie wykazuje możliwości uzdolnienia. Inni z czasem mogą okazać się powołani, ale teraz mogą uczestniczyć w samorządzie tylko pod rozważnym dozorem, równocześnie stanowczym i dobroczynnym. Wygnaliśmy z wysp tyranję hiszpańską. Jeżeli pozwolimy teraz, aby zastąpiła ją dzika anarchia, to pracowaliśmy dla zła, a nie dla dobra. Mam mało cierpliwości wobec tych, którzy obawiają się wzięcia na barki zadania rządzenia Filipinami i którzy oświadczają wyraźnie, że obawiają się, usuwając się od niego z powodu wydatków i ambarasu, ale mam jeszcze mniej cierpliwości wobec tych, którzy maskują swoją nieśmiałość pozorami humanitaryzmu i którzy czułym tonem opowiadają o „wolności” i o „zgodzie rządzonych”, aby uniewinnić swoją niechęć odegrania roli mężów. Gdyby wprowadzono w czyn ich doktryny, byłibyśmy zmuszeni do pozostawienia Apaszów Arizony ich własnemu losowi, do usunięcia się od wszelkiej interwencji w rezerwach

indyjskich. Ich doktryny potępiają waszych i moich przodków za to, że osiedli w tych Stanach Zjednoczonych.

Panowanie angielskie w Indjach i Egipcie przyniosło Anglii wielkie korzyści, bo wychowało pokolenia ludzi, przyzwyczajając ich do szerokiego i wysokiego pojmowania życia publicznego. Ale było jeszcze bardziej korzystne dla Indyi i Egiptu. Wreszcie i nadewszystko posunęło naprzód sprawę cywilizacyi. Otóż, jeżeli dobrze spełnimy nasz obowiązek na Filipinach, podniesiemy opinię narodu, która jest najwyższą i najlepszą częstką życia narodowego, okażemy wielkie dobrodziejstwo ludowi wysp Filipińskich, a nadewszystko odegramy dobrze naszą rolę w tem wielkiem dziele podniesienia ludzkości. Ale pamiętajcie zawsze, że, aby spełnić to zadanie, musimy wykazać w bardzo wysokim stopniu zalety odwagi, uczciwości i zdrowego sądu. Opór musi być wykorzeniony. Najpierwszem i najważniejszym dziełem do spełnienia jest zapewnienie przewagi naszego sztandaru. Zanim zrobimy cokolwiek bądź innego, musimy stłumić opór zbrojny, a w postępowaniu z naszym wrogiem nie może być ani układów, ani wahania. Co do tych w naszym kraju, którzy zachęcają nieprzyjaciela, możemy lekceważyć ich i pogardzać nimi, ale nie trzeba zapominać, że słowa ich, choć godne pogardy, są zdradą stanu.

Skoro raz nareszcie stłumimy opór zbrojny, kiedy prawo nasze zostanie uznane, rozpocznie się jeszcze trudniejsze zadanie, bo wówczas wypadnie nam czuwać, aby wyspy były rządzone z absolutną

uczciwością i zdrowym rozsądkiem. Jeżeli pozwolimy, aby służba publiczna wysp stała się łupem drapieżnych politykantów, postawimy krok na tej drodze, która doprowadziła Hiszpanię do własnej zguby. Powinniśmy posyłać tam tylko ludzi dobrych i zdolnych, wybranych z powodu ich zdolności, a nie ze względów stronnicych, a ludzie ci powinni nie tylko wymierzać bezstronną sprawiedliwość mieszkańcom miejscowym i służyć swemu rządowi uczciwie i wiernie, ale powinni także wykazywać największy takt i największą stanowczość, pamiętając o tem, że względem ludzi, z jakimi oni będą mieli do czynienia, słabość jest największą ze zbrodni i że prowadzi za sobą brak poszanowania dla reprezentowanych przez nich zasad.

A więc, współobywatele moi, zwracam waszą uwagę, że kraj nasz wymaga nie życia próżniaczego, ale życia mocnego wysiłku. Staje przed wami w mgle wiek XX, brzemienne losami wielu narodów. Jeżeli będziemy tu stali leniwie, jeżeli będziemy tylko poszukiwali spokoju próżniaczego i pokoju nikczemnego, jeżeli będziemy się usuwali od sumiennego współzawodnictwa, w którym ludzie muszą zwyciężać za cenę życia i stawiając na kartę wszystko, co mają najdroższego, wówczas narody śmielsze i mocniejsze wyprzedzą nas i zdobędą dla siebie panowanie nad światem.

Stańmyż więc śmiało wobec życia — walki, zdecydowani spełnić nasz obowiązek śmiało i mężnie, zdecydowani na popieranie prawa słowem i czynem, zdecydowani być równocześnie uczciwymi i mężnymi, służyć wysokiemu ideałowi, a przeciw

stosować metody praktyczne. Nadewszystko, nie cofajmy się przed żadną walką moralną albo fizyczną, wewnątrz lub nazewnątrz narodu, bylebyśmy tylko byli pewni, że walka jest usprawiedliwiona, bo tylko przez walkę, przez wysiłek twardy i niebezpieczny osiągniemy ostatecznie kres prawdziwej wielkości narodu.

II.

EKSPANSYA I POKÓJ.

(Artykuł w *Independent* 21 grudnia 1899 r.).

Najsłodszy z naszych poetów pisał:

„Bądźcie śmieli! Bądźcie śmieli! I wszędzie bądźcie śmieli!
 „Nie bądźcie zbyt śmieli! A przecież więcej wart nadmiar
 „Niż brak; więcej jest lepsze, niż mniej.

Miłość pokoju była u Longfellowa głęboką, ale był to mąż, i mąż mądry, i wiedział, że tchórzostwo nie jest podstawą pokoju i że nawet wielkie zło wojny może być mniejszem złem, niż pełnienie w nikkzemności.

Kapitan Mahan, który bardziej niż ktokolwiek w tym kraju ma prawo nosić piękną i zaszczytną nazwę „gentlemana-chrześcijanina”, i który nie jest zdolny stać się obrońcą jakiegokolwiek bądź złego postępowania, narodowego lub indywidualnego, daje wyraz uczuciu znacznej większości ludzi męzkich i pełnych zastanowienia, kiedy ostrzega przed wielkiem niebezpieczeństwem bezkrytycznej apologii pokoju za wszelką cenę, ponieważ „może ona dopro-

wadzić ludzi do paktowania z nikczemnością, do układów z niesprawiedliwością, pochlebiając sumieniu przeświadczeniem, że wojna jest rzeczą tak nieskończenie złą, że obok niej żadne inne zło tolerowane nie jest złem. Przykładem — Armenia i Kreta. Uniknięto wojny; ale co myśleć o sumieniach narodów, które patrzyły na taką nikczemność i powstrzymały rękę?”

Pokój jest wielkiem dobrem; więc podwójnie szkodliwe jest stanowisko tych jego obrońców, którzy bronią go w wyrazach, dających mu jedno znaczenie z tchórzliwą i egoistyczną odmową wojny przeciwko istnieniu zła. Najmądrzejsi stronnicy pokoju, obdarzeni daleko widzącym wzrokiem, będą zawsze pamiętali o tem, że przedewszystkiem pokój, aby być dobrym, musi być sprawiedliwym, bo niesprawiedliwy i tchórzliwy pokój może być gorszy, niż wszelka wojna i po drugie, że często pokój może być tylko następstwem wojny. Pozwólcie mi dać dwie ilustracye powyższego.

Wielką plamą na międzynarodowej moralności europejskiej w ostatniem dziesięcioleciu była nie wojna, ale nikczemny pokój, utrzymywany przez wspólną akcyę wielkich mocarstw, podczas gdy Turcyja stosowała najstraszniejsze tortury, rzezie i bezceństwa względem mężczyzn, kobiet i dzieci nieszczęśliwej Armenii.

Uniknięto wojny; utrzymano pokój; ale jaki pokój? Podczas tego pokoju spadło nieskończenie więcej niedoli niż podczas ostatnich wojen francusko-pruskiej i rosyjsko-tureckiej i spadło nie na ludzi uzbrojonych, ale na kobiety i dzieci bezbronne, na

siwobrodych stąrców i młodzieniaszków, i na naczelników rodzin; i niedole te przybrały kształty nietylko śmierci i więzienia, ale tortur, którym podlegali mężczyźni, a nadewszystko kobiety, zbyt strasznych, aby mogły być opowiedziane, tortur, o których myśl nawet jest zbyt straszna. Po za tem żadne dobro nie było następstwem krwi wylanej i niedoli. Bywa to często po wojnie, ale często też i nie bywa. Następstwem ostatniej wojny turecko-rosyjskiej było olbrzymie i stałe pomnożenie szczęścia Bułgarii, Serbii, Bośni i Hercegowiny. Prowincye te stały się niepodległemi albo przeszły pod panowanie Austrii, a korzyść z powodu rozszerzenia panowania cywilizacyi na koszt barbarzyństwa była poprostu nieobliczalna. To rozszerzenie spowodowało pokój i położyło koniec nieustannej, hałaśliwej, krwawej tyranii, która w ciągu wieków przyprowadzała Bałkany do rozpacz.

Jest wielu zacnych ludzi, którzy wielbią fantastyczne doktryny religijne Tołstoja, jego fantastyczną apologię pokoju. Te same przyczyny, które w rodzinach zwyrodniałych wytwarzają kolejno rozpustników i dewotów, rozwój histeryczny, który w naturach chorobliwych prowadzi do gwałtownej reakcyi emocjonalnej od występku do cnoty, prowadzi także Tołstoja z jednej strony do stworzenia „Sonaty kreutzerowskiej”, a z drugiej do jego niezdrowego mistycyzmu pokojowego.

Zdrowy i jasny umysł byłby niezdolny zarówno do upadku moralnego w newrozie, jak i do dekadenskiej moralności filozoficznej. Gdyby ziomkowie Tołstoja byli postępowali według jego teoryj

moralnych, to wygaśliby byli dotychczas, a dzicy byłiby zajęli ich miejsce. niesprawiedliwa wojna jest grzechem strasznym. Ale w naszych czasach nie stwarza ona nic podobnego do niedoli, którą wogóle stwarza niesprawiedliwe postępowanie z bliźnim w świecie społecznym i handlowym.

Potępienie każdej wojny jest właśnie równie logiczne, jak potępienie wszelkich stosunków handlowych i społecznych, jak potępienie miłości i małżeństwa z powodu strasznej niedoli, przyczynianej przez namiętności rozwydrzone i brutalne. Gdyby Rosya postępowała według filozofii Tołstoja, cały jej lud byłby dawno znikł z powierzchni ziemi, a kraj byłby zajęty teraz przez koczownicze plemiona barbarzyńskich Tatarów. Rzezie armeńskie są prostymi ilustracyami w zmniejszeniu tego, co by się działo na wielką skalę, gdyby zasady Tołstoja stały się powszechnymi wśród narodów cywilizowanych. Nie potrzeba wykazywać, że wychowanie wśród takiego stanu rzeczy musiało być gruntośnie niemoralnem.

Jeszcze raz, pokój można osiągnąć tylko przez wojnę. W naszym kraju są ludzie, którzy zapominają widocznie, że w chwili kiedy wybuchła Wojna Domowa, przeciwnicy jej wydali wielki okrzyk pokoju. Jedną z najzabawniejszych i z najbardziej gryzących satyr, wydanych przez przyjaciół unii i wolności podczas wojny domowej, nosiła napis: „Nowa Ewangelia Pokoju” w celu ośmieszenia tego stanowiska. Rodacy nasi, którzy w imię pokoju zachęcali Aguinalda i jego ludzi do zabijania naszych żołnierzy na Filipinach, mogliby wielce sko-

rzystać, gdyby chcieli rzucić okiem wstecz na dni krwawych starć i bójek, lekkomyślnie wywoływanych w imię pokoju i swobody słowa, kiedy tłum zabijał na ulicach mężczyzn i kobiety, kiedy palił małe sieroty w przytułkach, jako protest przeciwko wojnie. W celu utrzymania związku, potrzeba było czterech lat walki krwawej przeciwko wrogowi uzbrojonomu, wspomaganemu przy każdej sposobności przez tych, którzy sami nazywali się obrońcami pokoju; ale następstwem tego było skuteczne zapewnienie pokoju na tym kontynencie.

Gdyby ci ludzie krótkowzroczni, ci obrońcy pokoju byli zdolni do poprowadzenia sprawy według swego widzimisie, rozłam byłby się stał faktem dokonanym i nic nie zdołałoby przeszkodzić powtórzeniu w Ameryce Północnej tej pustoszącej wojny anarchicznej, która w ciągu trzech ćwierci wieku ustaliła się w Ameryce Południowej po zrzuceniu jarzma Hiszpanii. Uniknęliśmy pokoleń anarchii i wylewu krwi, bo ojcowie nasi, którzy popierali Lincolna i szli w ślady Granta, byli mężami w całym znaczeniu tego słowa, posiadającymi za wiele zdrowego rozsądku, aby pozwolili się obalamucić przez tych, którzy głosili, że wojna jest zawsze złem, i posiadającymi gruntowną surową cnotę w najtajniejszej głębi ich dusz, która czyniła ich zdolnymi do dzieł, przed którymi cofnęliby się i zbledli ludzie bardziej łagodnej natury.

Wojny pomiędzy społecznościami cywilizowanymi są istotnie rzeczą straszną, a ponieważ narody stają się coraz bardziej cywilizowanymi, więc mamy zasadę nie tylko spodziewać się, ale i wierzyć,

że z biegiem czasu będą się stawały coraz rzadszemi. Nawet wśród ludów cywilizowanych, jak to wynika z naszego własnego doświadczenia w roku 1861, może być potrzebnem dobycie w końcu miecza, a nie poddanie się złemu. Ale cechą istotnie wybitną historyi świata w obecnem stuleciu była co raz to zwiększająca się rzadkość wojen między narodami cywilizowanemi. Konferencya pokojowa w Hadze jest tylko oznaką rozwoju w tym kierunku. Należę do tych, którzy myślą, że wiele zrobiono na tej konferencyi i jestem dumny z przeważającego stanowiska, jakie zajęli na niej nasi delegaci. Zwrócę zresztą uwagę, że na tym punkcie świadectwa są jednomyślne, mianowicie, że byli w stanie zająć takie stanowisko dlatego, że tylko co wyszliśmy zwycięzko z naszej bardzo sprawiedliwej wojny z Hiszpanią. Małą uwagę zwraca się na samiczkę lub tchórze, którzy gaworzą o pokój, ale należną uwagę cieszą się słowa mocnego męża, który głosi pokój z szablą u boku, nie z motywów nikczemnych, nie z obawy albo z braku zaufania we własne siły, ale przez głębokie poczucie obowiązku moralnego. Zwiększenie pokojowości między narodami musi być przecieź ściśle ograniczone do tych, które są cywilizowane. Pokój może nastąpić tylko w tym wypadku, kiedy obie strony wobec możliwego zatargu ożywione są jednym duchem. Pokój z narodem barbarzyńskim jest zjawiskiem wyjątkowym. Na kresach pomiędzy cywilizacją a barbarzyństwem wojna wogóle jest zjawiskiem normalnem, ponieważ musi być tem w warunkach barbarzyńskich. Czy barbarzyńcą jest czerwonoskóry In-

dyanin na granicy Stanów Zjednoczonych, czy Afgańczyk na kresach Indyj angielskich, skutek jest ten sam. Ostatecznie człowiek cywilizowany przychodzi do przekonania, że może zachować pokój tylko podbijając swego sąsiada — barbarzyńcę, a barbarzyńca ustąpi tylko przed siłą, wyjąwszy wypadki tak niezwykle, że mogą być opuszczone. Poza siłą musi stać postępowanie sprawiedliwe—jeżeli chcemy, aby pokój był trwały. Ale bez siły sprawiedliwe postępowanie zwykle na nic się nie zda. W historii naszej byliśmy narażeni na więcej niedogodności przez Indyan, których pieściliśmy i o których dbaliśmy, niż przez te pokolenia, które krzywdziliśmy; sprawdza się to też w Hindostanie i w Afryce.

Każde rozkrzewianie cywilizacji jest pracą w imię pokoju. Innemi słowy, każda ekspansja wielkiego mocarstwa cywilizowanego oznacza zwycięstwo prawa, porządku i sprawiedliwości. Okazało się tą prawdą we wszystkich wypadkach ekspansyj w stuleciu bieżącym bez względu na to, czy mocarstwem była Francja, Anglia, czy Ameryka. We wszystkich tych wypadkach ekspansja była korzyścią nietyle dla mocarstwa, któremu przypadła nominalnie, ale dla całego świata. We wszystkich rezultaty dowiodły, że mocarstwo ekspansyjne spełnia względem cywilizacji obowiązek daleko większy i ważniejszy, niż mocarstwo które pozostaje *in statu quo ante*. Weźcie przykład Francji i Algierji podczas pierwszych dziesięcioleci stulecia obecnego: na morzu Śródziemnym grasowała najstraszniejsza piraterja, jaką można sobie wyobrazić; korsarze-

Maurowie zabierali rokrocznie w niewolę tysiące ludzi cywilizowanych. Mocarstwa cywilizowane osiągały haniebny pokój, płacąc haracz roczny. Nasz własny kraj był jednym z tych mocarstw i płacił cenę krwi Muzułmanom — bandytom morza. Wypadkowo mieliśmy z nimi kilka utarczek; na większą skalę robiła to Anglia, ale pokój nie następował, bo kraj nie był zajęty. Ostatni haracz zapłaciliśmy w r. 1830, a był to ostatni, bo w tym roku rozpoczęło się zajmowanie Algieru przez Francję. Sentymentalni wierszokleci, podobni tym, którzy pisali poemaciki na korzyść Mahdystów przeciwko Anglikom, a teraz piszą rozprawki na rzecz Aguinalda przeciw Amerykanom, sławili wówczas piratów algierskich, jako bohaterów, którzy walczyli o wolność przeciwko najezdnikom francuskim. Ale Francuzi ciągnęli dalej swoje dzieło; Francja rozkrzewiła się w Algierze, a rezultatem było zniknięcie rozbójnictwa na morzu Śródziemnym i taka pomyślność dla Algieru, jakiej nie zaznał w żadnym okresie swej historii. Jeszcze na większą skalę sprawdza się to samo na przykładzie Anglii i Sudanu.

Ekspansya Anglii na całą dolinę Nilu jest nieobliczalną wygraną cywilizacji. Ktokolwiek czytał pisma księży i laików austriackich, którzy byli więźniami w Sudanie za czasów Mahdiego, zrozumie, że kiedy Anglia zmiażdżyła i zdobyła Sudan, oddała bezcenną usługę ludzkości, za którą świat cywilizowany jest jej dłużnikiem. Cały świat cywilizowany wygrał tutaj, jak wygrał, kiedy Francja rozszerzyła swój stan posiadania w Afryce północnej,

jak wygrał, kiedy Anglia posuwała się równocześnie w Azji i w Afryce, w Kanadzie i Australii. Nade wszystko była to wielka wygrana dla sprawy pokoju. Rządy prawa i porządku nastąpiły po rządach krwawych i barbarzyńskich. Dopóki wielkie narody cywilizowane nie zajęły tam swoich posterunków, nie było tam nic innego, prócz krwawych gwałtów.

Toż samo było cechą historii naszego własnego kraju. Z natury rzeczy cała nasza historia była historią ekspansyi. Pod Washingtonem i Adamsem rozszerzaliśmy nasze posiadłości ku zachodowi aż do Missisipi; pod Jeffersonem rozkrzewialiśmy się poprzez kontynent aż do ujścia Kolumbii; pod Monroem zajęliśmy Florydę; potem Teksas i Kalifornię, i nareszcie, dzięki zręczności Sewarda, Alaskę, podczas gdy pod rządami wszystkich proces ekspansyi na wielkich równinach i w górach Skalistych szedł coraz szybciej i z coraz większą energią. Póki tylko mieliśmy granice, cechą główną życia pogranicznego była walka bez końca między kolonistami a czerwonoskórymi. Czasami bezpośredni powód do walki leżał po stronie białych, a czasami po przeciwnej, ale ostateczną przyczyną było to, że stykaliśmy się z krajem zajęтым przez dzikich lub pół-dzikich. Kiedy w ekspansyi docieramy do Kanady, niema żadnej obawy wojny; tak samo, kiedy docieramy do dobrze zorganizowanych okręgów Meksyku. Ale wszędzie gdzieindziej wojna musiała trwać, póki nie zajęliśmy kraju i wówczas następował natychmiast pokój, nieprzerwany aż do

dni naszych. W Ameryce Północnej, jak wszędzie indziej na całym świecie, ekspansya narodu cywilizowanego miała jako bezsporne następstwo rozszerzenie przestrzeni, w której pokój jest zjawiskiem normalnem.

Toż samo jest prawdą i na Filipinach. Gdyby ludzie, którzy doradzali upadek narodowy, hańbę narodu, zalecając nam, abyśmy opuścili Filipiny i powierzyli kontrolę wysp oligarchii Aguinalda, mogli postępować według własnego przekonania, rzucilibyśmy poprostu te wyspy na pastwę rozbójnictwa i wylewu krwi aż póki mocarstwo mocniejsze, bardziej mężkie, nie postawiłoby tam swojej stopy, aby dopełnić dzieła, które nas przeraziło. Ale na szczęście kraj ten zachowa wyspy i utworzy tam rząd stały i porządny, tak, że tym sposobem jeszcze jeden piękny zakątek ziemi zostanie wyrwany siłom ciemności. Zasadniczo—sprawa ekspansyi jest sprawą pokoju.

Małe jest niebezpieczeństwo, abyśmy prowadzili wojnę z mocarstwami cywilizowanymi. Na oceanie Spokojnym np. wielkimi narodami postępowymi, kolonizacyjnymi są Anglia i Niemcy. Co do Anglii to niedawno poczuliśmy zarówno węzły przyjaźni jak i pokrewieństwa; stosunki nasze z nią są lepsze, niż były kiedykolwiek i to samo powinny być z Niemcami. Właśnie niedawno załatwiono sprawę wysp Samoańskich, chociaż tam cierpieliśmy najgorszy ze wszystkich typów rządzenia, rząd, w którym niosły wspólną odpowiedzialność trzy mocarstwa. Zauważę po drodze, że jest to typ rządów, który niektórzy anty-imperyaliści zale-

cają na Filipinach pod pretekstem, żeby zostały neutralnymi. Układ doszedł do skutku przeważnie dlatego, że wszystkie narody przystąpiły do niego z dobrą wolą, aby załatwić sprawę sprawiedliwie dla wszystkich. W porozumieniu przedwstępnem rzecznikami Ameryki i Niemiec byli pp. Tripp i bar. Sternburg. Żadna trudność nie może nigdy wyniknąć między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi, która nie byłaby załatwiona obopólnem zadowoleniem, jeżeli układy będą prowadzone przez przedstawicieli obu mocarstw, podobnych do wyżej wymienionych. Jest rzeczą niezbędną, aby przystępować do obrad nie z pragnieniem przewyższenia jeden drugiego, ale spełnienia dzieła równej i ściślejszej sprawiedliwości i wprowadzenia systemu, który będzie czynny, szanując skrupulatnie cześć i interesy wszystkich zainteresowanych.

Narody, które rozszerzają swoje władania, i te, które tego nie robią, mogą w końcu zniknąć z powierzchni ziemi; ale pierwsze pozostawiają po sobie spadkobierców i pamięć pełną chwały, a drugie nie pozostawiają po sobie nic. Rzymianie rozszerzali się i pozostawili po sobie pamięć, która wywarła głęboki wpływ na historię ludzkości, a ponadto zostawili jako spadkobierców swego ciała, a nade wszystko swego języka i kultury, narody łacińskie Europy i Ameryki. Tak samo dziś, wielkie narody ekspansywne pozostawiają w spadku przyszłym wiekom wielkie wspomnienia, następstwa swych zdobyczy i narody, które z nich powstały, a Anglia ukazuje się jako arcytyp i najlepszy egzemplarz wszystkich tych potężnych narodów. Ale ludy, które nie

rozszerzają się, nie zostawiają i nie mogą zostawić nic po za sobą.

Tylko potęga wojenna ludu cywilizowanego może dać światu pokój. Arabowie rozbili cywilizację brzegów śródziemnych, Turcy zniszczyli cywilizację Europy południowo-wschodniej, Tatarzy pustoszyli wszystko na swej drodze, wszyscy cofnęli postęp świata o całe stulecia, jedynie dlatego, że narody cywilizowane, które znajdowali na swej drodze, straciły wielkie zalety wojenne i stając się ultrapokojowemi, zatraciły władzę utrzymywania pokoju ręką energiczną. Ich zniknięcie było początkiem okresu wojen barbarzyńskich i chaotycznych. Ci, których pamięć nie jest tak krótka, aby zapomnieli o zwyciężeniu Greków przez Turków, Włochów przez Abisyńczyków i o słabych wyprawach, przedsięwziętych przez Hiszpanię przeciwko słabemu Marokko, powinni zdawać sobie sprawę, że w danej chwili brzegi morza Śródziemnego byłyby zajęte przez Turków lub Mahdystów Sudanu, gdyby ci barbarzyńcy wojowniczy obawiali się tylko tych państw Europy południowej, które zatraciły cechy wojownicze. Taki najazd barbarzyńców oznaczałby wojnę bez końca, a fakt, że za dni naszych jest przeciwnie, że barbarzyńcy usuwają się, albo są zdobywani, z faktem następnym, że za tem cofaniem się, za temi zdobyczami idzie pokój, fakt ten zawdzięczać należy jedynie sile potężnych ras cywilizowanych, które nie zatraciły instynktów wojowniczych i które przez swoją ekspansję sprawiają, że stopniowo zapanowuje pokój w pustyniach, gdzie władzę dzierżyły ludy barbarzyńskie świata.

III.

DŁUGOŚĆ I SZEROKOŚĆ MIĘDZY REFORMATORAMI.

(Artykuł w *Century* w czerwcu 1900 r.).

Jedna z prześlicznych bohaterek panny Mary Wilkins, mówiąc o pewnych niby - przywódcach reform społecznych w jej wsi, czyni następującą uwagę: „Nie sądzę, aby byli o tyle wyżej od was, dla tego, że się znajdują daleko choć po jednej stronie. Czasami dzieli ludzi długość, a czasami szerokość”. Jest to prawda, a filozofia tych wyrazów stosuje się zarówno do tych, którzy chcieliby zreformować politykę wielkiego państwa, jak i do tych, którzy chcą przekształcić społeczeństwo małej wioski.

Kiedy się pisze o przedmiocie takim, jak powyższy, istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że się będzie źle zrozumianym, ponieważ z każdej strony istnieją niezdrowi ludzie skrajni, którzy lubią brać połowę jakiegokolwiek twierdzenia i użyć ją jako argument na korzyść własną lub też przeciwko oponentom. Jedno albo dwa zdania, wzięte oddzielnie, nie mogą wystarczyć do wyjaśnienia pełnej myśli człowieka, tak samo, jak w jednym lub dwóch zdaniach niepodobna załatwić kwestyi konieczności i ograniczeń lojalności w stosunkach między stronnictwami z doskonałością i sprawiedliwością, jakiej dał dowód np. p. Lecky w swoim ostatnim dziele, dziwnie zatytułowanem: „Karta życia”.

Wszyscy ludzie, w których charakterze nie tkwią czynniki poziome a uparte, muszą koniecznie uznać w naszym życiu publicznem potrzebę tych

właściwości, które grupujemy dosyć niewyraźnie, mówiąc o „reformach”, a wszyscy ludzie o zdrowym rozsądku muszą też koniecznie uznać zasadę ich skuteczności. Istnieją niewątpliwie ludzie o typie moralnym tak niskim, albo tak gruntownie cyniczni, że nie przypuszczają możliwości jakichkolwiek ulepszeń, lub których nic nie obchodzi ulepszenia wogóle. Istnieją również ludzie, nieco pomieszani umysłowo, albo też cierpiący na przekłątą chorobę moralną, która każe im popierać reformy, nie wskutek życzenia dobra innym, ale w chęci płacenia haraczu własnej zacności, dla przyjemności jaką sprawia przesadzanie własnej zasługi. Ani jedna z tych dwóch klas nie może nam przynieść pomocy rzetelnej w nieskończonej walce o prawo. Pozostaje więc całe wielkie ciało ludu, zamykające w sobie całe ciało tych, przez których ostatecznie dobro ludu musi być dokonane. Wszyscy ci ludzie kombinują, lub usiłują skombinować w rozmaitym stopniu właściwość dążenia do ideału, która czyni ludzi reformatorami, oraz właściwość usiłowania przy pomocy metod praktycznych, która czyni reformatorów — skutecznymi. Brak jednej z tych właściwości czyni drugą bezwartościową, albo i gorzej.

Jeżeli jest tendencja współczesna, bardziej niezdrówia i niepożądana, niż wszelka inna, to będzie nią tendencja ubóstwiania zwykłej hałaśliwości, której nie towarzyszy poczucie odpowiedzialności moralnej. Nie zrobimy nigdy z naszej Rzeczypospolitej tego, czem być powinna, póki jako lud nie zrozumiemy zupełnie i nie zastosujemy w praktyce zasady, że powodzenie jest stracone, jeżeli zostaje

osiągnięte przez poświęcenie podstawowych przepisów moralności. Człowiek, który cieszy się powodzeniem czy to w interesach, czy w polityce, który wznosił się bez wyrzutów sumienia, oszukując swoich sąsiadów, przez podłość i wykrętność, przez śmiałość i przebiegłość bez skrupułu, stoi wobec społeczeństwa jako niebezpieczne zwierzę drapieżne. Nikczemny i pełzający zachwyt, jaki karyera taka wzbudza wśród tych, którzy myślą na bakier lub wcale nie myślą, sprawia, że tego rodzaju powodzenie jest może najniebezpieczniejszym z wpływów, jakie zagrażają naszemu życiu narodowemu. Stopa naszego postępowania publicznego i prywatnego nie zostanie nigdy podniesiona do właściwego poziomu, póki nie będziemy dawali bardziej uczęźaru wrogiej opinii publicznej łajdakowi, któremu się wszystko udaje, niż łajdakowi, którego prześladowuje niepowodzenie.

Z drugiej strony zupełnie nie ma wartości popolite młócenie powietrza lub manifestowanie przystąpienia do wyznawania ideałów mętnych, a może w wysokim stopniu niepożądanych. Zamknięta w sobie cnota, która usuwa się nieśmiało od wszelkiego zetknięcia z surowym światem życia codziennego, oraz niewłaściwa i dumna z siebie próżność, zowiąca się fałszywie cnotą, która odrzuca współdziałanie z każdym, kto nie przyjmie jej własnego, fantastycznego sztandaru, są raczej gorsze, niż bezwartościowe, zmierzają bowiem do zagarnięcia siłom dobrym tych czynników, na które mogłyby liczyć w zatargu bez końca z siłami złego. Prawda, że niepraktyczny idealista różni się od człowieka

uczciwego i pracującego ciężko czynem i słowem w usiłowaniu urzeczywistnienia swego ideału, ale różnica tkwi w tem, że pierwszy jest niepraktyczny, a nie w tem, że posiada ideał wysoki, bo ideał drugiego może być jeszcze wyższy. Czasami trzeba, aby człowiek zerwał ze swymi towarzyszami i stanął sam wobec wielkiej sprawy, ale konieczność takiego czynu jest prawie równie rzadką, jak konieczność rewolucyi, a stanie na takim stanowisku nieustannie, w porę i nie w porę, wskazuje na naturę niezdrową. Niepodobna ustanowić bezwzględnej reguły, kiedy bezprawie jest dobrem, a kiedy złem, kiedy odkładanie jest oznaką najwyższych zdolności męża stanu, a kiedy jest dowodem słabości. Od czasu do czasu można bronić czystej doktryny i siłą przyciągnąć do niej ludzi. Jest to zawsze sposób postępowania pociągający, ale w pewnych wielkich przesileniach może to być droga fałszywa. Kompromis w jego właściwym znaczeniu jest to ugoda i porozumienie; we właściwym znaczeniu oportunizm, to poprostu umiejętność wyciągnięcia największych korzyści z warunków współczesnych, takich, jakimi są. Kompromis, którego rezultatem jest pół kroku w stronę zła, jest zupełnie złym, równie zupełnie, jak oportunistą, ratujący się chwilowo przy pomocy polityki brzemiennej przyszłemi kłękami; ale nie mniej złe jest stanowisko tych, którzy nie chcą dopuścić do porozumienia temi środkami, lub tą drogą, którą można otrzymać rezultaty praktyczne dla dobrej sprawy.

Te dwa stanowiska—pierwsze, które ubóstwia czystą skuteczność, czyste powodzenie, nie bacząc

na kwalifikacye moralne, które stają po za niemi, i drugie, które lekceważy rezultaty praktyczne, są Scyllą i Charybdą, między któremi musi przepływać każdy chwiejny reformator, każdy polityk, pragnący, aby zawód jego był sprawą honoru. Trzeba, aby unikał obu pod grozą rozbitcia i nie mu nie pomoże, jeżeli uniknie jednego, aby pójść na dno przy drugim. Ludzie są skłonni wyrażać się tak, jak gdyby w życiu politycznem, w życiu publicznem chodziło tylko o usiłowanie wdrapywania się na wysoki szczyt. Porównanie nie jest ściśle. Każdy człowiek, pragnący spełnić dobrą służbę publiczną, podróżuje wzdłuż grzbietu gór, mając po obu stronach otchłania bankructwa, otchłania bezskuteczności i otchłania niesprawiedliwości. Jest on nieustanną igraszką różnych sił, usiłujących zepchnąć go w tym lub owym kierunku, i nawet człowiek mądry i dobry, jeżeli nie uzbroi się w niepospolitą stanowczość i przeorność, będzie uważał, że droga jego staje się zygakowatą, miast być prostą; a to wskutek nieustannego działania sprzecznych sił. Jeżeli zygak stanie się zbyt wyraźny, jest już stracony, bez względu na to, w którą stronę go pociągnie i jest stracony nietylko ze stanowiska kariery osobistej. Co jest znacznie ważniejsze—to kres jego mocy oddawania ogółowi usług pożytecznych. Jeżeli jest zwyczajnym politykantem, może jeszcze zachować stanowisko polityczne; jeżeli jest rzekomym reformatorem, może zachować rozgłos, miły jego próżności—ale w jednym i w drugim wypadku skończyła się jego użyteczność dla ogółu.

Człowiek, poświęcający wszystko skuteczności,

nie zajmie dużo miejsca w rozprawy, podobnej ni-niejszej. Im jest zdolniejszy, tem jest niebezpieczniejszy dla ogółu. Naczelnik i przedstawiciel typowy pewnej wielkiej organizacyi politycznej miejskiej stwierdził niedawno pod przysięgą, że „w polityce chodzi mu zawsze o własną kieszeń.” Jest to doktryna, według której postępują pewni ludzie publiczni, postawiona w formie najcyniczniejszej i najbardziej pozbawionej obsłonek. Zbyteczna jest mówić o jej niekzemności z tymi, którzy posunęli się o znaczną przestrzeń od tej teoryi rozbójnika życia politycznego. Przed kilku laty inny człowiek publiczny głosił szeroko tę doktrynę w frazesie następnym: „Dziesięcioro przykazań i złote przepisy nie mają nic do czynienia w polityce.” Twierdzenia takie, wygłaszane otwarcie, prowadzą do przekonania o stopieniu sumienia publicznego; tam, gdzie wygłaszający je ludzie pozostają przywódcami politycznymi, publiczność sobie samej musi podziękować za braki w życiu politycznem.

Człowiek, organicznie niezdolny do pracy w imię rezultatów praktycznych, nie powinien wy magać wiele większej uwagi. W każdej społeczności istnieją małe gromadki fantastycznych skrajnych, którzy głoszą donośnie, że pracują w imię sprawiedliwości, a którzy w miarę swego braku sił czynni są dla niesprawiedliwości. Zupełnie tak samo, jak prawy polityk winien szczególnie gardzić człowiekiem, który z miana polityka czyni wyzwisko i synonim hańby, szczerzy reformator winien sobie zdawać sprawę z tego, że rzeczy, której broni, zagraża szczególnie reformator, który robi, co może,

ażeby reformę wystawić na śmiech ludzi przyzwoitych.

Pewien złośliwy obserwator zrobił uwagę, że kiedy dr. Johnson mówi o patryotyzmie, jako o ostatniej ucieczce łajdaka, zapominał „o nieskończonych możliwościach, zawartych w słowie—reforma”. Sarkazm ten dyskredytował człowieka, który go wygłosił, bo zarówno nie można usprawiedliwić przedajności, wyszydzać tych, co postępowaniem swoim robią skandal ze sprawy reform, jak nie można usprawiedliwić zdrady, dowodząc, że ludzie ciemnego charakteru starają się często pokryć szkodliwe postępowanie gorącymi zapewnieniami o miłości ojczyzny. Niemniej pozostaje faktem, że zupełnie tak samo, jak prawdziwi patryoci powinni jaknajbardziej zazdrośnie powstrzymać się od odwoływania do wszystkiego, co jest niskim, pod pokrywką patryotyzmu—ludzie, którzy walczą o uczciwość i o oczyszczenie ze wszystkich żywołów przedajnych w mrocznych zakątkach polityki naszej, powinnyby energicznie oddzielić się od ludzi, których błazeństwa rzucają cień na reformy, jakich głoszą się obrońcami.

Te małe gromadki skrajnych kwitną potrochu wszędzie, jeden typ tu, inne—gdzieindziej. W poszczególnych sprawach, które reprezentują, są sobie biegunowo przeciwne, bo jedną z ich cech charakterystycznych jest to, że każda mała gromadka ma własną opatentowaną receptę zbawienia i nie zwraca najmniejszej uwagi na inne małe gromadki, ale w swoich przyzwyczajeniach umysłowych i moralnych są do siebie zasadniczo podobne. Mogą być

so cyalistami dwudziestu różnych typów, zaczynając od uczniów Tołstoja na dół i w górę, albo mogą ostentacyjnie bronić jakiej sprawy, doskonałej samej w sobie, jak wstrzemięźliwość lub reforma samorządu miejskiego, albo mogą poprostu w najzupełniej zrozumiałych ogólnikach głosić się wrogami wogóle wszystkiego, co jest złem, przedajności, polityki i t. d. Taktyki ich i zasady zazwyczaj wykluczają się wzajemnie, ale to nie zmienia przekonania, że każda gromadka uważa się, lub udaje, że się uważa za jedyną istotną straż przednią wojska reformy.

Naturalnie, ponieważ wszystkie te poszczególne grupy idą w różnych kierunkach, tylko jedna z nich może być przednią strażą. Inne muszą koniecznie zbaczać, czasem nawet na manowce, albo do tylnej straży; w gruncie rzeczy czasami tylko ma pewne znaczenie to, która z nich istotnie idzie na przedzie.

W każdej grupie jest bardzo wielu ludzi najzupełniej szczerych i uczciwych; z powodu obecności tych ludzi jesteśmy zbyt skłonni do czynienia ich towarzyszom niezasłużonej grzeczności mówienia i o nich także, jako o ludziach uczciwych, ale niepraktycznych. W rzeczywistości typ skrajny tego gatunku w porównaniu z reformatorem praktycznym, z człowiekiem publicznym, który pracuje usilnie, nie przewyższa go wcale moralnością, raczej przeciwnie. Nie jest wcale cnotliwszy; jest mniej cnotliwy, jest poprostu głupi.

Kiedy Wendell Phillips nazywał Abrahama Lincolna „psem niewolnika z Illinois,” nie okazy-

wał się wcale cnotliwszym od Lincolna, ale tylko głępszym; nie posunął też ani o krok dalej sprawy wolności ludzkiej. Kiedy walka o Unię i przeciw niewolnictwu przybrała ostateczne kształty, jego i jemu podobnych zmiotli z powierzchni ziemi mężowie stanu i żołnierze, jak Lincoln i Seward, Grant i Faragut, którzy jedynie byli zdolni do opanowania burzy.

Jakkolwiek znaczniejszą jest wyższość ludzi, którzy coś przeprowadzają od tych, którzy nic nie robią, nie może ona być większa, niż wyższość ich moralności. Te kategorie entuzyastów, połączone z ludźmi prostymi i szczerymi, którzy mają jakieś deformacje w układzie umysłowym, posiadają, szczególnie między przywódcami, ludzi o chorobliwej próżności, spragnionych rozgłosu, ludzi, którym brak możliwości stworzenia czegokolwiek, gdyby z towarzyszami walczyli o rezultaty, i którzy wolą trzymać się na uboczu i zwracać na siebie uwagę, piętnując tych, co są prawdziwymi siłami dla dobrej sprawy.

W całym naszym społeczeństwie mamy liczne setki ludzi poważnych i szczerych, duchownych i laików, reformatorów, walczących o reformę w dziedzinie polityki, dobroczynności, życia społecznego, a na palcach jednej ręki moglibyśmy zliczyć wypadki, kiedy ludziom tym nieśli rzeczywistą pomoc w usiłowaniach ludzie przedstawionego powyżej typu. Socjalizm, wściekający się na ustrój istniejący, nie zdołał ani razu podnieść ręki w celu praktycznego a nieznacznego polepszenia naszego życia społecznego, w celu ulżenia warunkom, które ciążą nad nieszczęśliwym; człowiek, żądający niemożliwej i na-

tychmiastowej wstrzemięźliwości, najmniejszym wysiłkiem nie pomoże w zmniejszeniu złego, czyniącego zamęt, a ci, którzy trują się praktycznie w imię reformy politycznej, natrafiają zawsze na przeszkody ze strony pawioopróżnych zawodowych antypraktyków.

Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby te małe grupki robiły wiele rzeczy wyraźnie karygodnych, boć wpływ ich bezpośredni jest bardzo nieznaczny, ale niewątpliwie mają pośrednie znaczenie dla złej sprawy. Skutek ich działalności jest dwójaki: robią nieszkodliwymi dla złego jednych ludzi w pewien specjalny sposób, a drugich w inny.

Niektórzy ludzie przyzwoici, udając się wskazaną przez nich drogą, usuwają się od czynnej pracy życia, społecznej, czy filantropijnej, czy politycznej i przez poparcie, które tym sposobem odbierają dobrej sprawie, wzmacniają siły złe. Inni ludzie przyzwoici są tak oburzeni podobnem postępowaniem, że usuwają się od wszelkiego wysiłku i wszelkiej walki w imię reformy, przypuszczając, że reformatorowie są hipokrytami, albo głupcami. Obydwa te zjawiska są doskonale znane każdemu politykowi czynnemu, który uczestniczył w walce i każdemu człowiekowi wogóle, który uczył się historii w sposób rozumny. Mało rzeczy przynosi więcej szkody dobrej sprawie, niż przesada jej przyjaciół nominalnych.

Na szczęście, większość skrajnych nie posiada dość władzy, ażeby popełniać niebezpieczne nadużycia. Działalność ich bywa zazwyczaj równie bezpłodna, jak akcja dziwacznej grupy abolicjoni-

stów, która w r. 1844 wystawiła kandydata przeciw Abrahamowi Lincolnowi, kiedy ponownie miał być wybrany na prezydenta. Ludzie, którzy uczestniczyli w tej grupie—byli przedstawicielami wszelkich skrajności moralnych i umysłowych. Nominalnie byli w opozycyi przeciw Lincolnowi, ponieważ wydawało im się, że nie poszedł dość daleko w kierunku, który uważali za dobry. Nie był dostatecznie skrajnym—zarzucali mu więc to, co nazywali jego oportunizmem, jego tendencją do kompromisów, postępowaniem kunktatorskiem, w istocie to, że był politykiem praktycznym. W rzeczy samej opozycja ich przeciw Lincolnowi wynikała nie z tego, co on zrobił, ale z ich własnych usposobień. Byli poprostu niezdolni do popierania wielkiego męża stanu — budowniczego wśród wielkiego przesilenia, a to nie dlatego, że byli zbyt cnotliwi, ale dlatego, że brak im było dostatecznej dozy zdrowego rozsądku i auto-subordynacyi, która pozwoliłaby im pracować w sposób bezinteresowny z innymi dla dobra ogólnego. Tymczasem ruch, który wywołali, okazał się zupełnie poronionym i nie miał następstw nawet dla złej sprawy. Zdrowy rozsądek ludu amerykańskiego czyni, na szczęście, podobne ruchy nieszkodliwymi i to jest właściwie główną przyczyną, dla której rządy republikańskie prosperują w Ameryce, podczas gdy nie prosperują np. we Francyi. U nas te małe grupy niepraktycznych mają tylko bardzo nieznaczny wpływ na życie narodu i nie mają prawie reprezentacyi w naszych zgromadzeniach prawodawczych.

We Francyi, gdzie ludność niema przyzwycza-

jenia do samorządu i gdzie duch narodowy jest mniej zdrowy, a bardziej lekki, każda mała grupka wzrasta, aż póki nie staje się pomocną do złego, a wzięte razem nadają one wszystkie życiu politycznemu Francji ciekawe cechy kalejdoskopiczne, ale bynajmniej nie podniosłe.

Wybitnie zdrowy unyś Macaulay'a i jego znajomość spraw praktycznych nadają mu szczególną wartość wśród historyków myśli politycznej. Mówiąc o Szkocji na końcu XVII stulecia, pisze, co następuje:

„Jest rzeczą godną uwagi, że ten sam kraj w tej samej epoce wytworzył najznakomitsze okazy dwóch skrajnych prądów natury ludziej. Purytanin szkocki nie chciał słyszeć o kompromisie nawet w rzeczach obojętnych; zawsze był gotów uważać tych, którzy zalecali przezorność i miłość bliźniego, za zdrajców dobrej sprawy. Z drugiej strony, Szkoci tego samego pokolenia, którzy występowali w parlamencie, byli najnieuczciwsiymi i najbardziej bezwstydnymi służalcami epoki, jakich świat widział. Może jest to naturalne, że najzatwardziały i najbezczelniejszy występek znajduje się w sąsiedztwie z nierozumną i niepraktyczną cnotą. Tam, gdzie entuzyaści gotowi są do gnębienia, lub do składania życia w ofierze w imię bagatelek, ubranych w szaty powagi przez sumienia zbyt drażliwe, nie jest dziwnem, że samo nawet imię sumienia staje się mianem pogardliwym dla zimnych i chytrych aferyzistów”.

To, co Macaulay mówi o Szkocji z czasów króla Jakuba i Wilhelma, sprawdza się dosłownie

na życiu obywatelskiem New-Yorku w dwa stulecia później. W New-Yorku widzimy rozlazłe masy głosujących, jako narzędzia zręcznych, pozbawionych skrupułów i egoistycznych panów maszyny politycznej. Naprzeciw nich widzimy wprawdzie masy głosujących, którzy umieją walczyć i walczą istotnie o sprawiedliwość; ale widzimy także wielu innych, u których zdolność do samorządu zdaje się zanikać. Stracili oni możność spełniania dzieła praktycznego, przestając wprawiać się w tem, zamykając się w granicach krytyki i teoryi, w niewstrzeżliwym nadużywaniu i obronie tego, co rozumieją tylko niedokładnie. Podobni do ludzi, których potępia Macaulay, istnieją w New-Yorku w wielkiej liczbie i robią wiele złego w naszym życiu publicznem z tych właśnie przyczyn, które podaje historyk angielski.

Nie czynią dzieła praktycznego, a skrajne szaleństwo ich stanowiska robi ich często sprzymierzeńcami łajdaków, którzy cynicznie praktykują przedajność. Istotnie, zbyt często zrażają do sprawy słuszności ludzi przenikliwych i uczciwych, którzy dochodzą do tego, że spoglądają z pogardliwą niechęcią na każdy ruch w kierunku reformy, a to z powodu szaleństwa i próżności ludzi, którzy w imię sprawiedliwości głoszą i praktykują nienawiść. Tym sposobem ludzie ci przynoszą nieocenioną szkodę, bo duch reformy, duch dążenia do najwyższych ideałów, jest tchem życia w naszych instytucjach politycznych, a wszystko, co go osłabia, zmniejsza o ty-

leż szanse ostatecznego powodzenia pod rządami demokratycznymi.

Po usunięciu obu skrajnych typów ludzi, którzy świadomie pracują dla złego, i ludzi, którzy nie dbają lub nie są zdolni pracować dla dobra, pozostaje cała masa ludzi, którzy istotnie pragną pracować skutecznie, którzy istotnie pragną, aby świat stał się lepszym środowiskiem życia i pragną robić co mogą, aby oczyścić umysły i uzdrowić ciała. Tym możemy ostatecznie powiedzieć, co następuje: Walczcie mężnie o sprawiedliwość i walczcie tak, aby wasze wysiłki dla dobrej sprawy były skuteczne. Nie możecie być uniewinnieni, jeżeli nie uda wam się postarać o ulepszenie rzeczy; słowo „postarać się” musi tu być brane w znaczeniu czysto praktycznym. Jeden człowiek jest zdolny do pewnego rodzaju pracy, a drugi do innego; jeden jest przywiązany do pewnych metod działania, drugi do zupełnie innych — wszystko to jest mało ważne. Prawdziwie życiową wagę ma tylko to, aby zrobić cośkolwiek i to przekonanie, że owo „cośkolwiek” warte jest dokonania. Pole pracy jest bardzo obszerne, a pracowników jest zawsze za mało. Niema najłżejszego wytłomaczenia dla pracownika szczerzego, jeżeli gardzi innym dlatego, że wybrał sobie inną część pola i inne narzędzia pracy. Odmowa pracy, praca podła i przewrotna, psucie roboty innych — oto są rzeczy nie do przebaczenia.

Nie można usprawiedliwić żadnego człowieka jeżeli pracuje źle, dlatego, że tak łatwiej i prościej. Każdy winien czynić wszelkie możliwe dobro, a przecież trzeba, aby się liczył z kwestyą właściwości, aby

móŜz czynić wszelkie moŜliwe dobro, bo inaczej nie czyniłby Źadnego. Skoro tylko polityk dochodzi do przekonania, Źe aby być praktycznym, trzeba być niskim, staje się szkodliwym członkiem ciała politycznego. Bo te pozory praktycznoŹci jak rak Źra zdrowe poczucie moralne ludu i ten, który je stosuje, nie moŜe być uniewinniony, jak wydawca, który szerzy rozpustę, aby sprzedać swoje ksiąŹki.

Potrzeba nam pracowników na niwach reformy społecznej i obywatelskiej, ludzi, którzy Źywią głębokie zainteresowanie do zakłádania uniwersytetów, stowarzyszeń i klubów obywatelskich, którzy usiłują podnieŹć skalę Źycia. Potrzeba nam dzienników czystych, zdrowych, z krytyką czystą, zdrową, która byłaby zarazem śmiałą i prawdziwą. Potrzeba nam polityków prawych, którzy nie szczędziliby czasu, ni znoju, i którzy posiadaliby zdolnoŹć prowadzenia zgromadzeń publicznych. Potrzeba nam ludzi, którzy usiłowaliby być opiekunami swych uboŜszych braci do tego stopnia, aby zrobić z nich swoich przyjaciół i pracować z nimi, o ileby tego Źądali, i ludzi, którzy pracowaliby w stowarzyszeniach dobroczynnych, albo—co lepiej jeszcze, którzy usiłowaliby wejŹć w porozumienie z robotnikami, zrozumieć ich i bronić ich sprawy, kiedy jest słuszna. Potrzeba nam zdrowych idealistów, pisarzy, kaznodziejów, profesorów, Emersonów lub Filipów Brooksów, którzy pomagaliby w wytworzeniu atmosfery entuzjazmu i usiłowań praktycznych. Potrzeba nam ludzi dalekowidzących i zdecydowanych, ludzi, którzy posiadaliby szczeroŹć i zdrowy umysł razem. Potrzeba nam takŜe uczonych, ludzi, którzy zbadaliby wszyst-

kie trudne kwestye naszego życia politycznego ze stanowiska teoryi i praktyki zarazem; ludzi, którzy w ten sposób zbadaliby trusty, czy rządy miejskie, czy finanse, czy sprawy celne, czy reformy służby cywilnej, jak autorzy „Federalisty” zbadali zagadnienia rządu związkowego. W życiu publicznem potrzeba nam nietylko ludzi, którzy potrafiliby pracować w swoich stronnictwach i za ich pośrednictwem, ale również prawych, śmiałych, rozsądnych, niezależnych, którzy oddawaliby bezstronną sprawiedliwość wszystkim ludziom i wszystkim stronnictwom.

Na zakończenie pozwólcie mi jeszcze położyć nacisk na punkt, który staram się uwypuklić, aby uczciwie rzecz biorąc, nie mogło być najmniejszego nieporozumienia co do moich słów. Jest potrzeba życia, aby każdy człowiek pracujący w dziedzinie polityki, tak jak powinien, t. j. z bezinteresownym zamiarem służenia sprawie publicznej, aby ciągle walczył o reformę, aby miał ideał jaknajszczytniejszy. Trzeba, aby prowadził, ale aby prowadził w dobrym kierunku i aby osoba jego była dobrze na widoku tych, co za nim idą. Cynizm w życiu publicznem jest przekleństwem, i kiedy człowiek stracił zdolność do entuzjazmu na rzecz sprawiedliwości, dla niego i dla kraju byłoby lepiej, aby porzucił życia publiczne.

Nadewszystko nie trzeba, aby reformator polityczny pozwolił sobie zboczyć z drogi obowiązku popierania wszystkiego, co dobre, wskutek jakiegokolwiek rozdrażnienia przeciwko ludziom, którzy choć popierają nominalnie te same sprawy, a nawet

ośmieszają go jako „opportunistę”, przecież przez lekkomyślność lub fanatyzm nie przestają szkodzić sprawie, której on służy istotnie, a oni służą z zawodu. Niech ich lekceważy; bo chociaż stosownie do swych skłonności są oni wrogami polityki racjonalnej, to przecież są tylko samieczkami, a prawdziwymi i niebezpiecznymi wrogami sprawy, która im jest droga, są te istoty nikczemne, które tuczą się złem naszego systemu politycznego, korzystają z jego istnienia i swoim własnym istnieniem zdążają do uwiecznienia i zwiększenia zła tego. Nie trzeba, abyśmy pozwolili odciągnąć się od naszej walki z tymi potężnymi i skutecznymi nikczemnikami za pomocą gniewu na tych pustych gadułów, którzy uważają się za wodzów sił reformatorskich, podczas gdy w istocie są tylko maruderami na bocznych ścieżkach i w aryergardzie.

Człowiek niepraktyczny z zawodu, który wyśmiewa się ze zdrowych i uczciwych poszukiwaczy dobra, który wydrwiwa ludzi, idących skromnie w ślady tych, co pracowali, aby osiągnąć rezultaty praktyczne za czasów Waszyngtona, a potem jeszcze Lincolna, który ogłasza ich jako służalców epoki i ludzi kompromisu, człowiek ten jest naturalnie sprzymierzeńcem zepsucia. Ale ostatecznie można go lekceważyć, podczas gdy istotnym i niebezpiecznym wrogiem jest politykant zepsuty, którego lekceważyć nie możemy. Kiedy jeden z tych antypraktyków z zawodu nazywa postępowanie ludzi przyzwolonych „salcesonem z ideału i praktyczności”, jest do pewnego stopnia zabawnym, bo nieświadomie wypisuje własne potępienie, wykazując własną niezdol-

ność wykonania dobrego dzieła, lub oceny dobrej roboty. Konwencja konstytucyjna, której przewodniczył Washington i która zrobiła z nas naród, była właśnie dokładnym obrazem takiego „salcesonu” i była namiętnie potępiana w swoim czasie przez ludzi niezdolnych do niczego. Postępowanie Lincolna od początku do końca wojny domowej było też takim „salcesonem” i było z kolei piętnowane, jako takie. Lincoln lekcewał tych ludzi, którzy w miarę swojej słabości starali się szkodzić wielkiej sprawie, o którą walczył, i nigdy ukłócia ich szpilek nie zdołały go odwrócić od prawdziwego wroga. Ludzie fanatycznie przeciwni niewolnictwu pragnęli pociągnąć do jakiegoś czynu nieostrożnego, skrajnego i przedwczesnego i piętnowali go, jako wchodzącego w kompromis z siłą złego, jako polityka praktycznego, jakim był istotnie, jeżeli pod tem mianem rozumieć należy zmysł praktyczny, mądrość i daleki rzut oka. Nie dał się wzruszyć ich stanowiskiem. Nie ustępował temu, co oni radzili, jeżeli to było niepraktyczne, tak samo, jak nie pozwalał sobie na uprzedzenia względem tego, co mogło być słusznem i praktycznem w ich żądaniach. Jego ideał był akurat tak wysoki, jak ich. Nie obniżał go. Nie tracił panowania nad sobą z powodu ich postępowania i nie przestawał walczyć o zniesienie niewolnictwa i o przywrócenie Unii, i podczas gdy ich postępowanie kazałoby przewidywać klęskę obu spraw, jego usiłowania zapewniały powodzenie obu. Tym sposobem z kolei my, ludzie dzisiejsi, powinniśmy starać się wstępować w ślady tych wielkich Amerykanów, którzy w przeszłości bronili ideału

podniosłego i wysilali się potężnie w celu zrealizowania tego ideału za pomocą metod praktycznych. Trzeba, aby było wiele kompromisów, ale nie możemy zawierać kompromisu z nieuczciwością, z grzechem. Nie powinniśmy się dać nigdy obłąkać twierdzeniem bezwartościowem, że ludzie otrzymują tylko to, czego żądają; że wydawca nędznego piśmidła powinien być usprawiedliwiony, bo publiczność domaga się plugastwa; że urzędnicy miejscy, inaugurujący system „domów szeroko-otwartych”, powinni być usprawiedliwieni, ponieważ część publiczności lubi rozpustę; że ludzie, którzy szydą z filantropii, powinni być usprawiedliwieni, ponieważ między filantropami są hipokryci, a pomiędzy nieszczęśliwymi są nędzni i występni. Pochlebianie zepsuciu prowadzi za sobą natychmiast wzrost zepsucia. Kiedy uczucie publiczne przebacza złe postępowanie człowiekowi publicznemu, jest to rzecz straszna, ale nie stanowi to żadnego usprawiedliwienia człowieka publicznego, jeżeli przez swoje postępowanie jeszcze bardziej poniża uczucie publiczne. Nie można gwałcić praw uczciwości, przyzwoitości, moralności. Obowiązek czci nakazuje nam czynić to samo, co głosimy, pamiętać, że nie możemy być usprawiedliwieni, jeżeli tego nie robimy i że ostatecznie ani wielkie powodzenie materyalne, ani największa zręczność w interesach, ani rozwój intelektualny żadnego rodzaju nie może okupić w narodzie braku zalet podstawowych: odwagi, honoru i zdrowego rozsądku.

IV.

KOLEŻEŃSTWO, JAKO CZYNNIK POLITYCZNY.(Artykuł w *Century*; w styczniu 1900 r.).

Koleżeństwo, sympatya w najszerszem słowa tego znaczeniu, jest najważniejszym czynnikiem w tworzeniu zdrowego życia politycznego i społecznego. Ani nasze narodowe, ani nasze miejscowe życie obywatelskie nie może być tem, czem być powinno, jeżeli nie cechuje go koleżeństwo, wzajemna uprzejmość, wzajemny szacunek, poczucie wspólności obowiązków i interesów, które rodzą się, kiedy ludzie wnoszą równe usiłowania zrozumienia jeden drugiego, stowarzyszania się dla tego samego celu wspólnego. Znaczna część nienawiści w walce politycznej i społecznej rodzi się albo z prostego zapoznawania przez jedną sekcję, albo przez jedną klasę innego odłamu lub klasy albo też z tego, że dwa odłamy lub dwie klasy, są oddzielone od siebie w sposób tak wyraźny, że żadna z nich nie ocenia namiętności, przesądów, nadewszystko stanowiska drugiej, podczas gdy obie zupełnie nie wiedzą o wspólności uczuć w stosunku do tego, co stanowi treść męzkości i ludzkości.

Jest to jedna z przyczyn, które szkołę publiczną czynią tak doskonałą instytucją. Jej to, bardziej niż jakiegokolwiek z licznych przyczyn, które w naszym życiu amerykańskiem przemawiają za tolerancją religijną, zawdzięczamy niemożliwość prześladowania jakiegokolwiek wyznania. Jeżeli podczas pierwszych najważniejszych wrażeniowo lat

protestanci, katolicy i żydzi chodzą do tych samych szkół, uczą się tych samych przedmiotów, grają w te same gry i są zmuszeni ostrą i brutalną demokracją życia dziecinnego do dawania miary własnej wartości, to będzie niemożliwem zrobić z nich później prześladowców jakiegobądź wiary. Ameryka jest zabezpieczona od klęsk prześladowań religijnych.

Jesteśmy też w każdym razie bardziej zabezpieczeni, niż dawniej od klęski rywalizacji o Unię. Wojna z Hiszpanią była najabsolutniej najsprawiedliwszą z wojen obcych, w których brał udział naród w XIX wieku, a nie najmniejszą z jej dobrych stron była jedność, wytworzona między synami ludzi, którzy niegdyś nosili szare i niebieskie mundury. To oznaczało ostatecznie absolutny zgon dawnej antypatii. Oczywiście tu i owdzie tli się jeszcze ogień pod popiołami, ale cały kraj wogóle zaczyna się coraz bardziej szczyć wartością, abnegacją, wiernością ideałowi, której zarówno dali dowody żołnierze obu stronnictw wojny domowej. Teraz — wszyscy jesteśmy zjednoczeni. Wszyscy radujemy się, że Unia została przywrócona i wszyscy zarówno jesteśmy wobec niej lojalni, z ręką w ręce. Z ogólnem uznaniem niesłychanego znaczenia utrzymania Unii przyszło także uznanie tego faktu, że w czasie wybuchu wojny domowej ludzie nie mogli zerwać i wyzwolić się od przyzwyczajień i tradycji, któremi byli napojeni od wielu pokoleń i że ludzie Północy i ludzie Południa byli zarówno lojalni wobec wzajemnych podniosłych ideałów obowiązku, kiedy dobywali miecza, albo przykładali ka-

rabin do oka, aby się bić aż do zgonu o to, co uważali za sprawiedliwe.

I nietylko Północ i Południe podały sobie ręce. Wschód i Zachód są zasadniczo bardziej zbliżone do siebie, niż były kiedykolwiek. Biorąc słowo „Zachód” w jego starem znaczeniu, jako kraj położony na zachodzie od Alleghanów, jest naturalnie rzeczą zupełnie jasną, że to Zachód ukształtuje losy tego narodu. Wielka grupa bogatych stanów naokoło górnego Mississipi, Ohio, Missuri i ich dopływów będzie miała daleko więcej znaczenia niż jakakolwiek inna okolica aby rozstrzygać o losach rzeczpospolitej w wiekach, które otwierają się przed nami. Nie powinno to zupełnie wzbudzać żalów Wschodu, dla tej prostej i doskonałej przyczyny, że interesy Zachodu i Wschodu tworzą właściwie jedno. Zachód będzie kierował naszymi losami, bo będzie bardziej zaludniony i będzie miał większe terytoryum, bo cały rozwój zachodniej części kraju jest tego rodzaju, że jest on prototypem wszystkiego, co jest potężnie i charakterystycznie amerykańskie w naszym życiu narodowym.

To się stosuje do wybrzeża oceanu Spokojnego, do młodych, olbrzymich Stanów, wzrastających skokami nagłemi. Im większy będą miały udział w kierownictwie naszym życiem narodowym, tem lepiej dla nas wszystkich.

Ani na chwilę nie chcę przez to powiedzieć, że w żadnej okolicy kraju nie będą popełniane fałszywe kroki. Przeciwnie, będą one popełniane z pewnością i bez względu na to, gdzie będą popełniane, obowiązkiem naszym będzie protestować

przeciwko nim i próbować zrzucić tych, którzy będą za nie odpowiedzialni; ale chcę przez to powiedzieć, że z biegiem czasu każda okolica będzie zdawała sobie sprawę, że jej dobrobyt nietylko nie sprzeciwia się, ale jest nierozzerwalnie związany z dobrobytem innych okolic. Rozwój środków komunikacji, rozwój wychowania w jego najpiękniejszym i najwyższym znaczeniu, to to samo, co rozwój poczucia solidarności od jednego krańca kraju do drugiego, rozwój uczucia dumy patriotycznej każdego Amerykanina z powodu czynów wszystkich innych Amerykanów, dumy z powodu historii przeszłości i wielkości teraźniejszej kraju całego.

Nikogo nic nie obchodzi, że Dewey jest rodem z Vermont, Hobson z Alabamy, Funston z Kansasu. Gdyby wszyscy trzej pochodzili z jednego hrabstwa, nie stanowiłoby to różnicy. Są Amerykanami i każdy Amerykanin ma równe prawa do części chwały, płynącej z ich czynów. Kiedy czytamy o wspaniałych czynach naszej armii na Filipinach nie nas nie obchodzi, czy pułki pochodzą z Oregonu, Idaho, Kalifornii, Nebraski, Pensylwanii, czy Tennessee. Chodzi tylko o to, że ci znakomici żołnierze wszyscy są Amerykanami; że są naszymi bohaterami; że nasza krew płynie w ich żyłach; że sztandar, pod którym żyjemy, jest sztandarem, za który walczyli, pod którym niektórzy z nich zginęli. Wszelkie niebezpieczeństwo, płynące z antypatii religijnej, zniknęło, a płynące z antypatii dzielnicowej zanika, ale chwilami występują bardzo brzydkie objawy antypatii klasowej. Wydaje się dziwnym używanie tu słowa „klasy”, bo faktycz-

nie niema klas w naszym życiu amerykańskim w tem znaczeniu, w jakim wyraz ten jest używany w Europie. Nasz system społeczny i polityczny nie uznaje ich w teorii, a w praktyce istnieją one jedynie w stanie nader płynnym. W większości krajów europejskich klasy oddzielone są od siebie twardymi przegrodami, które można przekraczać tylko bardzo rzadko i z nadzwyczajnymi trudnościami i niebezpieczeństwami. Tu nie można właściwie powiedzieć, że granice istnieją; w każdym razie są one tak nieokreślone, tak niewyraźnie oznaczone, że mogą być dostrzeżone, chyba, że się na nie patrzy bardzo zblizka. Każda rodzina amerykańska, trwająca przez kilka pokoleń, będzie miała przedstawicieli w najrozmaitszych warstwach. Wielcy bankierzy i przemysłowcy, a szczególnie wielcy mężowie stanu, wojownicy i marynarze bardzo często pochodzą z pośród dzierżawców i robotników, a ich starzy rodzice pozostają przy swem starem ognisku, lub przy swym starym warsztacie. Jeżeli kiedykolwiek istniało społeczeństwo w którym jednorodność interesów, obyczajów, zasad i ideałów jest odczuwana jako siła żywa—to jest niem nasze. Mówiąc wogóle, to jest ona odczuwana w stopniu prawie zupełnie nieznanym w krajach naszych rozmiarów. Istnieją oczywiście części Szwecyi i Norwegii, gdzie ideały społeczne i polityczne, oraz bliskość ich urzeczywistnienia nie różnią się zasadniczo od tych warunków w częściach najrdzenniejszej amerykańskiej naszej własnej ziemi; ale nie stosuje się to do żadnego z krajów europejskich o wielkich rozmiarach. Tylko w społecznościach amerykańskich widzimy

dzierżawców, robotników, prawników, kupców, może nawet oficerów armii i marynarki, wszystkich sprzymierzonych i wszystkich przyjmujących wzajemne stosunki za zupełnie proste i naturalne. Jest to cechą wybitnie zdrową. Tak być powinno właśnie w całej naszej Rzeczypospolitej. To przedstawia ideał, do którego wszędzie i zawsze warto się zbliżyć. W wielkich środowiskach przemysłowych, w ich warunkach niezwykle złożonych, wybitnie wyspecjalizowanych, jest to tylko ideałem. Są części nawet naszych najstarszych Stanów, jak np. New-Yorku, gdzie ideał ten jest faktycznie urzeczywistniony; są inne części, szczególnie wielkie miasta, gdzie życie jest tak zupełnie różne, że urządzenie życia według warunków wiejskich byłoby sztuczne i niemożliwe. Niemniej pozostaje faktem, że jedynie prawdziwe rozwiązanie zagadnień naszych społecznych i politycznych polega na pielęgnowaniu wszędzie ducha braterstwa, koleżeństwa i wzajemnego porozumienia się pomiędzy ludźmi i dobrej woli postępowania z człowiekiem, jak z człowiekiem. Są to zasadnicze czynniki demokracji amerykańskiej, jak to widzimy jeszcze w okolicach wiejskich.

Głównym czynnikiem stworzenia sympatii wzajemnej jest stowarzyszanie się na stopie równości i do wspólnego celu. Każdy Amerykanin zdrowy na umyśle jest zmuszony do nabrania dobrego przekonania o swoich rodakach, jeżeli tylko dojdzie do ich poznania. Trudność polega na tem, że ich nie zna. Jeżeli bankier z dzierżawcą nie spotykają się nigdy, albo spotykają się tylko na

obojętnym gruncie interesów, można być pewnym, że powstanie uczucie nieufności, chyba że bank kierowany jest przez ludzi, których dzierżawca ma za swoich przyjaciół i współników. Jeżeli kupiec lub przemysłowiec, prawnik lub urzędnik nie spotykają nigdy robotnika lub rzemieślnika, z wyjątkiem rzadkich wypadków, kiedy spotkanie ma może charakter wrogi, każda ze stron czuje, że druga jest jej obca i naturalnie wroga. Ale gdyby jakakolwiek jednostka lub jakakolwiek grupa była rzucona nagle w stowarzyszenie naturalne z inną, to trudności zniknęłyby bez śladu. Byłoby nawet możliwe, że jedna grupa stałaby się obrońcą dążeń drugiej.

Może mi czytelnik wybaczyć, że przytoczę jako przykład własne doświadczenie w tej sprawie. Poza studentami i politykami, pierwszymi najbliższymi moimi towarzyszami życia byli ludzie z ranch'ów, pastuchy wołów, oraz myśliwi na grubą zwierzynę, i wkrótce doszedłem do przekonania, że w całym kraju niema równych im ludzi.

Potem miałem dużo stosunków z dzierżawcami i drobnymi posiadaczami i przekonałem się, że na nich to istotnie spoczywają podstawy naszej rzeczypospolitej, że oni są architypami dobrych Amerykanów. Jeszcze później obracałem się dosyć dużo w kole kolejowców i po bardzo poufnych stosunkach zaczynałem czuć, że — zwłaszcza w wyższych szeregach — są oni typem tych właśnie zalet odwagi, zaufania we własne siły, panowania nad sobą, śmiałości, zdatności do pracy, mocy inicjatywy i umiejętności posłuszeństwa, które najchętniej łączymy z mianem Amerykanina. Dalej

zdarzyło mi się mieć stosunki z pewnymi stowarzyszeniami cieślów i doszedłem do wielkiego szacunku dla cieślów, dla typu rzemieślników wogóle. Wtedy poczęła we mnie kielkować myśl, że wszyscy oni są porządnymi i dobrymi chłopcami i że moje kolejne przejmowanie się dołą każdej grupy, po za innymi, pochodziło przeważnie ztąd, że zapoznałem się w danej chwili lepiej z jedną grupą, a mniej z innymi. Innymi słowy, nabrałem sympaty i zrozumienia dla nich wszystkich, grupa po grupie, dlatego, że zawsze znajdowałem, że oni i ja mamy zamiary wspólne i wspólne stanowisko. Różniliśmy się między sobą, nie wchodziliśmy w porozumienie nie dlatego, że mieliśmy zajęcia różne lub jednakowe, ale z powodu naszych sposobów pojmowania życia.

Ta to zdolność do sympaty, do koleżeństwa i do wzajemnego zrozumienia musi być podstawą wszystkich naszych istotnie szczęśliwych odruchów w kierunku dobrego rządzenia, oraz ulepszenia warunków społecznych i obywatelskich. Niema systemu patentowanego dobrych rządów. Tembardziej nie ma patentowanego systemu leczenia dolegliwości społecznych i zniesienia nierówności społecznych. Mądre prawodawstwo może pomóc w każdym z obu wypadków, a prawodawstwo surowe, występne, albo demagogiczne, może zrobić nieskończenie wiele złego. Ale polepszenie dzieła musi pochodzić z wolnego działania tych samych sił, które zawsze dążyły do dobra i zawsze doń dążyć będą.

Pierwszą nauką, którą wszczepiać należy, jest nauka o traktowaniu każdego człowieka, stosownie

do jego wartości, jako człowieka, i pamiętaniu zawsze, że jeżeli czasem trzeba uważać ludzi jako klasy z podwójnego stanowiska prawodawczego i społecznego, to przecież wogóle nasza pomyślność leży w uznaniu wartości lub braku wartości jednostki, jako głównej podstawy działania, a co za tem idzie, w odpowiedniem kształtowaniu całego naszego postępowania, a szczególnie postępowania politycznego. Demokracja nie może trwać, jeżeli linie polityczne są wyciągnięte tak, że wypadają na liniach klasowych. Rząd, który ztąd bierze początek, bez względu na to, czy reprezentuje klasy wyższe, czy niższe, nie będzie rządem ludu w jego całości, ale rządami części ludu na niekorzyść pozostałych. Tam, gdzie linie podziału politycznego są pionowe, gdzie ludzie wszelkich zajęć i wszelkich warunków społecznych dzielą się według swoich powołań i zasad, rezultat bywa zdrowy i normalny. Jeżeli jednak linie te wyciągnięte są poziomo, rezultat jest niezdrowy, a z biegiem czasu niszczący, bo taki podział oznacza, że ludzie uszeregowani są przeciwko sobie stosownie do ślepych i egoistycznych wymagań chwili. Każdy tym sposobem jest przeciwko swemu sąsiadowi, w postawie chciwej niechęci klasowej, która staje się główną sprężyną jego czynów, zamiast żeby każdy opierał swoją działalność polityczną na przekonaniach własnych, stosownie do tego, co jest słusznem, a co nie, i na własnem bezinteresownem poświęceniu dla interesów społeczności takich, jakimi je pojmuje. W przeszłości rzeczypospolite upadały głównie dlatego, że stronnictwa, które niemi rządziły, dzieliły

je według linii poziomych w ten sposób, że tryumf jednej ciągnął za sobą koniecznie panowanie jednej części nad całością. Rezultatem mogła być oligarchia, albo rządy tłumu; mało nas obchodzi, która z tych dwóch możliwości, bo w obu wypadkach napewno zmieniały się tyrania z anarchią. Bankructwo rzeczpospolitych greckich i włoskich jest wyłącznie następstwem tych przyczyn. Szwajcaryja kwitnęła, bo podziały, na podstawie których osiągała swoje zdobycze polityczne, nie były czystymi podziałami kastowymi lub klasowymi, a Ameryka będzie kwitnęła i będzie stawała się coraz większą, większą od każdego państwa, bo ostatecznie w tym kraju jakiegokolwiek stronnictwo, które próbowałoby opierać się na zazdrości lub niechęci okolic, czy klas, musiałoby upaść wobec zdrowego rozsądku ludu.

Jedynym środkiem zabezpieczenia się przeciwko podziałowi poziomemu w polityce jest zachęcanie do rozwijania uczuć koleżeństwa, uczuć, opartych nie na stosunkach klasy do klasy, lecz człowieka do człowieka. W okręgach wiejskich nie jest to rzeczą bardzo trudną. W mojem sąsiedztwie, czwartego lipca czterej duchowni protestancy i ksiądz katolicki przemawiają z wysokości tej samej platformy, dzieci zaś wszystkich chodzą do tej samej szkoły okręgowej, a właściciel ziemski spotyka się z parobkiem nie na polu polityki, ale przy sposobności strzelania do kaczek lub międzynarodowych wyścigów jachtów. Naturalnie, w takiej społeczności niema niebezpieczeństwa podziału na kla-

sy. Istnieje pewna lekka niechęć względem przybywających do nas letników, właśnie dlatego, że nie idzie od nich żaden prąd sympatii i dlatego, że nie biorą udziału w naszych interesach lokalnych.

Ale po za tem istnieje dosyć wspólnych przedmiotów, aby w rozmaitych ważnych wypadkach połączyć wszystkich na podstawie danego interesu, a każdy człowiek zanadto szanuje samego siebie, aby specjalnie zazdrościć innemu. Prócz tego, ponieważ ta społeczność miejscowa jest mała i składa się w największej części z osób, które długo zamieszkują ten kraj, podczas gdy przybyli z zewnątrz, nie zasklepiając się między sobą, pożenili się z miejscowemi, więc istnieje jeszcze istotne uczucie pokrewieństwa między ludźmi najrozmaitszych zajęć. Charakterystyczne nazwiska miejscowe noszą ludzie często bardzo różnych położań towarzyskich i społecznych, zaczynając od majstra miejscowego, przechodząc przez kapitana szalupy do połowu ostryg, fabrykanta żagli, kołodzieja, aż do posiadacza tego, co na wsi nazywają zamkiem, zawierającego zapewne jeden z niezliczonych pokoi, w których jakoby miał nocować Washington. Mamy nieraz ostre rywalizacye i nasza polityka bynajmniej nie zawsze jest tem, czem być powinna, ale przynajmniej nie dzielimy się wedle linii klasowych dla tej najlepszej przyczyny, że nie nastąpiła kryształizacya klas.

Warunki podobne przeważają prawie we wszystkich okręgach wiejskich stanu New-York, które bezwarunkowo są politycznie najzdrowsze. Każdy

człowiek, który był w ciałach prawodawczych, zdaje sobie sprawę, że posłowie wiejscy tworzą wogóle bardzo zdrową i czystą grupę prawodawców. Każdy, kto bywał często na jarmarkach w hrabstwie nowojorskiem—prawie jedyna sposobność zbierania się rolników w większych ilościach — nie mógł nie być uderzony podniosłym charakterem zwykłych chłopów. Jest to piękna rasa ludzi, surowa, pracowita, bystra, posiadająca cnoty zasadnicze. Chłop nowojorski i bracia jego ze wsi i miasteczek w zwykłych warunkach nie rachują się zupełnie z wszelkimi różnicami klasowymi. Traktują oni ściśle każdego człowieka, jako człowieka, stosownie do jego wartości, tworzą więc społeczność, w której jest szczególnie mało ducha kastowego i w której ludzie łączą się na gruncie absolutnie zdrowym i bardzo amerykańskim, na gruncie wspólnych ideałów, wspólnych przekonań i wspólnych sympatyj.

Na nieszczęście, nie można powiedzieć tego samego o wielkich miastach, gdzie warunki życia są tak skomplikowane, że nastąpiła niesłychana specjalizacya i zróżniczkowanie nie tylko we wszelkiego rodzaju zajęciach, ale i w przyjemnościach. Ludzie do pewnego stopnia majątni i oddający się pewnego rodzaju zajęciu, mogą nigdy nie wchodzić w istotne zetknięcie z ludźmi innych zajęć, innego stanowiska społecznego. Życie idzie tu zawsze w kierunku stosunków klas z klasami, a nie jednostek z jednostkami.

Wpływa to na wytworzenie przekonania najzupełniej niezdrowego, że w interesie pewnej klasy, jako przeciwniczki innej, leży, aby jej przed-

stawiciele klasowi przeważali w życiu publicznem. Dolegliwości takiego systemu są jasne. Zresztą, olbrzymia masa naszego prawodawstwa i administracyi powinnyby się zajmować rzeczami, które dotyczą ściśle wspólnego dobra, a tam, gdzie potrzeba prawodawstwa lub administracyi specjalnej, dla specjalnej klasy, jak tego często może zajść potrzeba, wtedy trzeba jej zadosyć uczynić przedewszystkiem przez prostą uczciwość i zdrowy rozsądek. Ale jeżeli wybory wyciągają ludzi tylko z jednej kasty, jeżeli są wybierani na zasadzie teorii jakiejś kasty, to wyborca stopniowo podstawia teorię przynależności do kasty, w miejsce przynależności do rzeczypospolitej w jej całości, i zamiast domagać się zalet zasadniczych uczciwości i szerokiej inteligencyi, które są zaletami koniecznymi dla zapewnienia dobra całości, domaga się przedewszystkiem gorliwości w służbie, lub pozornej służbie w interesach klasy, która może być zupełnie zgodna z najgrubszym zepsuciem na wewnątrz. Jednym słowem, powracamy do warunków, które skazywały demokrację na bankructwo w dawnych rzeczpospolitych greckich i południowych, gdzie linie stronnictw były poziome i gdzie każda klasa była w walce z inną klasą, przez co każda zmuszona była zamieniać poświęcenie interesom państwa i podstawowe przymioty moralne na poświęcenie interesom jednej klasy.

Jedynym środkiem uniknięcia rozwoju tych dolegliwości, o ile to jest możliwem, jest pomaganie wytwarzaniu warunków, które pozwolą na zrozumienie się wzajemne i na koleżeństwo członków róż-

żnych klas. W tym celu jest rzeczą konieczną i niezbędną, aby istniała naturalna łączność między członkami w imię wspólnego celu albo wspólnego zdania. Dopóki ludzie będą odgraniczeni od siebie odpowiednimi liniami kastowymi, przyczem każde ciało będzie miało swoje odrębne rozrywki, zajęcia i interesy, jest rzeczą pewną, że będą spoglądali na siebie z tą instynktowną nieufnością, którą odczuwają względem obcych. Bywają wyjątki w tej regule, ale jest to reguła. Człowiek zwykły, kiedy niema żadnego sposobu zetknięcia się z innym, albo przeniknięcia idei i dążeń tego drugiego, wtedy albo nie zna zupełnie owych idei i dążeń, albo też odczuwa względem nich mniej lub więcej łagodny wstręt. Rezultatem tego jest zupełne, a może fatalne nieporozumienie, które zawdzięczamy przede wszystkim zupełnemu brakowi sposobności do rozkwitu koleżeństwa. Z drugiej strony, gdyby ludzie mogli się pomieszać z sobą w ten sposób, aby rozluźnić więzy klasy, czy kasty, i postawić każdego na swoim miejscu wedle jego wartości jako jednostki, nastąpiłoby z pewnością ugrupowanie, niezależne od linii kast. Jeden węzeł mógłby pozostać pomiędzy członkami jednej kasty, węzeł, oparty wyłącznie na podobieństwie ich sposobu życia, ale byłby on nieskończenie słabszy, niż węzły oparte na jednakowych namiętnościach, przekonaniach, lub zasadach pojmowania życia. Każdy człowiek, który kiedykolwiek, na swoje szczęście, był zmuszony pracować z ludźmi w masie, w jakiejkolwiek miejscowości, lub w jakichkolwiek warunkach, lub w jakimkolwiek stowarzyszeniu, gdzie

dyzlokacya kasty była zupełna, przyzna mi słusność. Dowodzi tego każdy obóz górników, każdy pułk ochotników, który miał powodzenie. W podobnych wypadkach, kiedy istnieje zawsze jakiś cel, który osiągnąć trzeba, a ludzie interesowani w jego osiągnięciu muszą zapomnieć o własnych przywódcach i własnych więzach towarzyskich, wtedy nowy przywódca może zyskać powodzenie tylko wybierając ludzi, najbardziej zdolnych do wykonania danej roboty, w najrozmaitszych okolicznościach. Wówczas ludzie, którzy pracują razem dla spełnienia pewnego wspólnego zadania, w którym są najbardziej zainteresowani, stają się bardziej skłonni do lekceważenia, a faktycznie do zapomnienia o wierze, pochodzeniu, dawnym stanowisku społecznym, albo zajęciu klasowem człowieka, będącego ich przyjacielem lub wrogiem. Schodzą aż do głębi, aż do czystego kruszcu charakteru i zdolności.

Sprawdza się to w znacznej mierze na organizacjach partyjnych wielkiego państwa, a właściwie na wszelkich poważnych organizacjach politycznych. Jeżeli mają pracować z powodzeniem, muszą być koniecznie demokratycznymi w tem znaczeniu, że każdy człowiek musi być traktowany ściśle według swojej wartości, jako człowiek. Nikt nie może zwyciężyć, kto posuwa się naprzód na innych podstawach, nadewszystko nikt nie może zwyciężyć, jeżeli idzie naprzód z uczuciem, że zamiast poprostu spełniać swój obowiązek robi łaskę społeczności, a przeto jest upoważniony do okazywania swym towarzyszom pewnej górnej łaskawości. Czasami opieka równie irytuje, jak rabunek: reformatorowie

stwierdzili niejednokrotnie, że jeżeli masa głosujących bezmyślnie głosowała przeciwko nim, a na korzyść bandy przyjaznych i poufałych łajdaków, to działało się to przeważnie dlatego, że nie odczuwali najmniejszego uczucia koleżeństwa względem swoich rzekomych dobroczyńców.

Tendencya do opiekowania się zostaje napewno wykorzenioną z chwilą, kiedy człowiek wchodzi w życie polityczne w sposób praktyczny, a nie jako dyletant. Bardzo prędko stwierdza, że tajemnica dobrego postępowania, umiejętność wychodzenia z ludźmi i zapewniania rezultatów mogą istnieć w osobach, zdawałoby się, nieprawdopodobnych.

Jeżeli zamierza zapewnić wybór pewnego kandydata, lub powzięcie pewnej uchwały prawodawczej czy administracyjnej, będzie musiał wynaleźć niezliczonych sprzymierzeńców i pracować z nimi, będzie musiał posługiwać się niezliczonymi podwładnymi. Przypuściwszy, że on i oni mają cel wspólny, jedynym kamieniem probierczym, który powinien do nich zastosować, będzie zdolność ich do pomocy w osiągnięciu tego celu. Rezultat będzie ten, że bardzo wkrótce ludzie, których zamiary są jednakie, zapomną o wszelkich różnicach, z wyjątkiem różnicy umiejętności w doprowadzeniu tego zamiaru do pomyślnego końca. Bankier, zainteresowany w danej nominacji, czy w danym wyborze zapomina o wszystkim, z wyjątkiem swej wspólności interesów z rzeźnikiem detalicznym, który jest przywódcą pewnej części swojej ulicy, ze „starte-rem“, który może skontrolować znaczną ilość pała

czy, i naodwrot, rzeźnik i „starter“ zupełnie naturalnie uważają bankiera za sprzymierzeńca, którego mogą prowadzić, lub za którym muszą iść, stosownie do nacisku okoliczności. Innemi słowy, wszyscy trzej dochodzą do wspólnych uczuć względem pewnych ważnych spraw, a to koleżeństwo ma następstwa równie szerokie jak zdrowe. Tym sposobem dobro wypływa ze zwykłej politycznej rekrutacji. Człowiek, który brał czynny udział w życiu politycznym wielkiego państwa, posiada nieobliczalną wyższość nad swymi współobywatelami, którzy w niem w ten sposób nie uczestniczyli, ponieważ niewątpliwie ma więcej od nich zrozumienia stanu duchowego, namiętności, przesądów, nadziei i nienawiści swoich współobywateli, z którymi w zwykłych warunkach nie wszedłby w zetknięcie społeczne. Oczywiście istnieje masa wyjątków od tej reguły. Człowiek, wciągnięty do polityki skutkiem pobudek czysto egoistycznych, a specjalnie człowiek bogaty, który pragnie tylko kupić sobie karierę polityczną, może zupełnie nie wiedzieć nic ważnego o kimś lub o czemś, wyjąwszy tego, co dotyczy najniższych stron natury ludzkiej, z którymi rozszerzona została jego sfera zetknięcia; a z drugiej strony rozsądny pracodawca lub filantrop, w którym równoważy się szczęśliwie gorliwość ze zdrowym rozsądkiem, może wiedzieć więcej, niż większość polityków. Ale pozostaje faktem, że następstwem życia politycznego i skupień, które prowadzi za sobą, jest bardzo wielki zysk przez wytworzenie lepszego porozumienia i ściślejszego koleżeństwa między ludźmi, którzy bez tego nie znalazliby się wzajemnie, albo też

znaliby się jako członkowie obcych sobie korporacji lub kast.

Jeżeli tak jest, to o ile prawdziwszą jest teza, gdy to samo przyzwyczajenie stowarzyszenia się może być zastosowane tam, gdzie cel wspólny istotnie należy do najpodnioslejszych! Wiele uczyniły na tej drodze zakłady uniwersyteckie i stowarzyszenia podobne.

Wszędzie, gdzie stowarzyszenia te zakładane były w duchu czystym i zdrowym, dobro, które czynią, jest nieobliczalnem, skutkiem prostego faktu, że jednoczą w dążeniu do godnego przedmiotu ludzi o doskonałych cechach charakteru, którzy inaczej nigdyby się nie byli spotkali. Dla jednej, zarówno jak i dla drugiej strony, jest równie ważnem, aby człowiek z Hesterstret, z Bowery, czy z ulicy B. i człowiek z Riverside Drive, lub z piątej ulicy mieli jakiś grunt spotkania, na którym mogliby dojść do zrozumienia jeden drugiego, lub znaleźć sposobność do pracowania w imię wspólnego celu. Naturalnie, jeżeli z jednej strony praca jest przedsięwzięta w duchu opiekuńczym, nie wyniknie z niej żadne dobro; z drugiej strony, jeżeli entuzjazm gorliwości straci cechy zdrowego rozsądku, następstwa mogą być tylko złe. W wielkiem państwie jest bardzo wiele strasznej nędzy; gorący, szlachetny młodzieniec, kiedy po raz pierwszy styka się z tą nędzą, czuje, że sympatye jego są tak podniecone, iż może zostać socyalistą, lub stać się obrońcą jakiejś dzikiej teorii, idąc w ten sposób naprzeciw skoku ze złego w gorsze, jak to robi obok niego zbyt wielu przywódców niezadowolonych. Jego zdrowy umysł

i zimna krew będą wystawione na gruntowną próbę; jeżeli je straci, moc jego czynienia dobra zniknie.

Mówię to tylko w celu przedstawienia jednej ze stron prawdy ogólnej. Jeżeli człowiek pozwoli na zwyrodnienie szerokości swego serca w osłabienie umysłu, stanie się nieuniknienie klęską we wszystkich stosunkach życia. Jeżeli sympatya staje się fałszywą i chorobliwą, to przeszkadza, zamiast pomagać w wysiłku ku ulepszeniu społeczeństwa.

W każdej zdrowej społeczności musi istnieć pewna solidarność uczuć i znajomość solidarności interesów między jej różnymi członkami. Tam, gdzie solidarność ta nie istnieje, tam, gdzie niema żadnego koleżeństwa, społeczność dojrzewa już do upadku. Naturalnie, koleżeństwo może mieć wartość większą w stosunku do stopnia jego nieświadomości. Uczucie, które jest proste i naturalne, jest warte o wiele więcej, niż takie, które jest wywoływane sztucznie. Ale sztuczne wywołanie jest lepsze niż nic, a uczucie solidarności, zarówno jak wszystkie uczucia, wywołane sztucznie, może stać się następnie zupełnie naturalnem. U większości ludzi odwaga bywa najczęściej uczuciem nabytem; przy pierwszej sposobności, kiedy trzeba ją wykazać, wymaga wyćwiczenia siły woli i panowania nad sobą, ale po dłuższej praktyce odwaga staje się stopniowo prawie automatyczną.

To samo stosuje się do koleżeństwa. Człowiek, który sumiennie usiłuje zaryzykować swój los z tym lub tymi, co go otaczają, zrobić interesy ich własnymi interesami, stanąć na stanowisku, gdzie on i oni będą mieli cel wspólny, będzie z początku

miał świadomość swego czynu i będzie sobie zbyt wyraźnie zdawał sprawę ze swego własnego celu. Ale z czasem usposobienie to przejdzie bez śladu. Wkrótce bardzo spostrzeże, że uczucie koleżeństwa, które musiał początkowo wywoływać sztucznie, istniało, chociaż w stanie utajonym, i może rozwijać się pomyślnie. Może naturalnie stać się normalnem dopiero wtedy, kiedy człowiek sam dochodzi do tego, że interesuje się bezwiednie celem, który on i jego towarzysze osiągnąć pragną. Jest więc oczywiście pożądanem, aby cel ten posiadał realny i żywotny interes dla każdego. Zachodzi to w wypadku stowarzyszeń politycznych właściwych. Zrobiono wiele nie tylko za pośrednictwem zwykłych stowarzyszeń politycznych, ale także za pomocą klubów i związków obywatelskich i innych, lecz zrobić można jeszcze znacznie więcej. Naturalnie zachodzi obawa znieprawienia takiego towarzystwa przez łajdactwo lub głupotę. Kiedy organizacja polityczna stronicza staje się prosto zwykłym stowarzyszeniem w celach rabunku i protekcyi, staje się grozą, a nie pomocą dla społeczności; a kiedy organizacja polityczna niepartyjna podpada pod wpływ fanatyków skrajnych, których takie organizacje zawsze pociągają, z kolei staje się też bezpożyteczną lub szkodliwą. Ale jeżeli te organizacje są prowadzone według przepisów uczciwości i zdrowego rozsądku, to czynią dobro, które zatacza daleko szersze kręgi, niż przypuszczają ich inicjatorowie, i dochodzą do rezultatów daleko większego znaczenia, niż te, które miały bezpośrednie na celu.

Jest rzeczą doskonałą osiągnąć tryumf dobre-

go rządu przy wyborach, ale daleko doskonalszą jest wytworzyć stopniowo wśród obywateli amerykańskich ten duch koleżeństwa, który będzie coraz potrzebniejszy, jeżeli pragniemy, aby w naszym życiu obywatelskim tryumfowały zasady twardej uczciwości i mocnego zdrowego rozsądku.

V.

POMOC OBYWATELSKA.

(Artykuł w *Century*, w październiku 1900 r.)

W wysoce interesującej książce *The Map of Life*, którą cytowałem już w jednym z poprzednich artykułów, p. Lecky zwraca uwagę na stopniową zmianę, jaka zaszła w pojęciach religijnych świata skutkiem coraz większego znaczenia, nadawanego postępowaniu, w porównaniu do dogmatu. W tym kraju dawno przeszliśmy przez okres, w którym uważa się za część obowiązku państwa wzmacnianie i popieranie pewnego szczególnego dogmatu religijnego; nauczyciele rozmaitych wiar coraz bardziej zgadzają się milcząco na to, że pierwszą zasługą jakiegoś wyznania jest reguła postępowania, jakiego wymaga od swoich sekciarzy względem ich kolegów. Każdy człowiek sam tylko może rozstrzygać o tem, czy wiara, którą żywi w głębi serca, jest niezbędna do jego zbawienia; ale społeczeństwo ma prawo sądzić jego czyny wobec tych, którzy się doń zbliżają. Sądzeni według tej reguły, nauczyciele religijni społeczeństwa muszą być postawieni bardzo wy-

soko. Prawdopodobnie żadna inna klasa obywateli nie robi nic zbliżonego do tej pracy bezinteresownej dla współobywateli. Dla tych, którzy są bardzo blisko ich postawieni, twierdzenie to wyda się strasznie banalnym i płaskim. Ale istnieje w opinii publicznej grupa nie do lekceważenia, która, sądząc z mów, pism i żartów, jakie sobie upodobała, nie ma najmniejszego pojęcia o tym stanie rzeczy. Gdyby tacy ludzie chcieli sobie tylko zadać trud zbadania aż do końca istotnej treści życia duchownego, pastora, czy księdza, pracującego znojnie, sądzę, że uczuliby nieco wstydu z powodu tonu impertynenckiego, który chętnie przybierają, mówiąc o nich.

W okręgach miejskich nauczyciel ewangelii jest normalnie członkiem i naczelnikiem swojej kongregacji i pozostaje z nią w ścisłym osobistym stosunku. Dzieli i kieruje częściowo życie intelektualne i moralne kongregacji i zaspakaja jej potrzeby duchowe. Jeżeli gmina wyznaniowa jest uboga i składa się z ciężko pracujących, dzieli jej ubóstwo i pracuje równie ciężko. Jeżeli członkom powodzi się dobrze i on żyje w dobrobycie. Najpiękniejszą postacią, jaką mogę wywołać w moim umyśle, jest postać takiego duchownego wiejskiego w biednej gminie, złożonej z dzierżawców, położonej nieopodal stolicy stanu New-York, starego, dzielnego człowieka, który przez sześć dni w tygodniu pracuje ciężko na swojej roli, a siódmego dnia głosi z kazalnicy, zaleca to, co sam robił.

Praca na roli nie zajmuje mu całych dni, bo nie zaniedbuje ani jednej potrzeby swoich parafian,

Odwiedza ich, zajmuje się nimi, kiedy są chorzy, chrzci dzieci, pociesza tych, których dotknęła niedola, i jest zawsze gotów do służenia radą i pomocą, o ile jej ktoś potrzebuje; jednym słowem, od początku do końca tygodnia jest obrazem zupełnie szczerego, gorliwego, ciężko pracującego starego chrześcijanina. Jest to może typ najzdrowszy. Wszystko trzeba brać w stosunku do środowiska, bo w okręgach wiejskich cnota samopomocy jest bardzo wysoko rozwinięta i mało się korzysta z wielkiego, zorganizowanego miłosierdzia. Sąsiedzi znają jeden drugiego. Najbiedniejsi i najbogatsi mniej lub więcej stykają się z sobą, a uczucia miłosierne znajdują proste i naturalne ujście w metodach domowych praktykowania dobrych uczynków. Nie znaczy to wcale, aby nie było miejsca na ogromną ilość pracy w społecznościach wiejskich, we wsiach i miasteczkach. Od czasu do czasu, podróżując po stanie wpada się na jakąś bibliotekę publiczną na lokal stowarzyszenia chrześcijańskiego młodych ludzi, albo na inną budowlę tego rodzaju, wzniesioną przez członka, który się urodził na miejscu, który zrobił majątek gdzieindziej i który czuje, że dobrze byłoby zostawić po sobie jakąś pamiątkę miejscu rodzinnemu. Dar taki jest błogosławieństwem bardzo szerokiego pokroju. Jeszcze lepszym jest to, co zrobiono w zakresie bibliotek ruchomych i innych podobnych rzeczy przez zjednoczone działanie tych mężczyzn i tych kobiet, które jasno zdają sobie sprawę z potrzeb intelektualnych ludzi, żyjących zdala od wielkich środowisk. Naszej nieco gorączkowej cywilizacji

współczesnej, bo w życiu wiejskiem trzeba się strzedz nie gorączki umysłowej, ale zaniku podniety i interesów umysłowych.

W miastach warunki życia są zgoła różne, zarówno w tem, co dotyczy potrzeb, jak i w sposobie, w jaki można iść w kierunku zaspokojenia tych potrzeb. Czuje się tam daleko mniej zasadniczą wspólność interesów, a ubóstwo fizyczne widzi się niestety w szerokich masach. Istnieją dzielnice, zaludnione aż do zduszenia, gdzie nikt prawie nie jest nad poziomem ubóstwa, choć ubóstwo to w żadnym razie nie zawsze oznacza nędzę. Tam, gdzie staje się istotnie nędzą, trzeba je zwalczać za pomocą organizacyi, a przede wszystkim za pomocą bezinteresownej, nieskończonej pracy tych, którzy z wolnego wyboru i aby czynić dobrze, żyją pośród niego czasowo lub stale. Znaczna ilość mężczyzn i kobiet poświęca znaczną część swego życia lub spełnia część swego życiowego zadania w podobnych warunkach, a widome placówki pośród nich stanowią pastory i księża.

Tylko ci, którzy widzieli zblizka cokolwiek z takiej pracy, rozumieją, w jak znacznej mierze prowadzi się ją spokojnie, bez najmniejszego śladu efektów zewnętrznych i czem ona jest dla znacznej liczby żywotów, które spędzonoby inaczej w najbardziej szarej beczynności. Nie chcę podawać nazwisk żyjących, ale mógłbym przytoczyć z własnych moich znajomych około pięćdziesięciu pastorów i księży, przedstawicieli różnych kościołów, ludzi różnego stopnia bogactwa, z których każdy pogodnie i spokojnie z roku na rok spełnia część swo-

ją, a czasem więcej niż część dzieła, które uważa za włożone na swoje barki przez chrześcijaństwo i przez tę formę chrześcijaństwa stosowanego, jaką nazywamy dobrą obywatelskością. Można by przytoczyć jeszcze większą liczbę kobiet, które spełniają taką samą pracę w stowarzyszeniach wyznaniowych i po za niemi. Naturalnie, na każdą taką osobę zacytowaną przypadałaby setka lub kilka setek nieznanych. Może nie będzie źle wspomnieć o pewnym zmarłym działaczu. Zaraz na wstępie mojej kariery, jako delegowany do policyi miejskiej New-Yorku, wszedłem w stosunki z o. Cesserly, Paulinem. Kiedy się przekonał, że istotnie szczerze usiłowałem poprowadzić przyzwoicie sprawę w moim wydziale, że chcę czuwać nad tem, aby panowało prawo i porządek, a występki i zbrodnie były zwalczane środkami praktycznymi, zbliżyliśmy się bardzo, przyczem on pomagał mi wszelkimi sposobami i nieświadomie dawał mi przecucie swego własnego dzieła i swego charakteru. Nieustannie na tej, czy na innej drodze spotykałem to, co robił o. Casserly, wykazujący zawsze głęboką miłość do ludzi i żywe zainteresowanie się życiem otaczających. Jeżeli jeden z chłopców jakiejś rodziny był dzikim, to o. Casserly układał plan i metodę oswojenia go i uspokojenia. Jeżeli z drugiej strony, jaki chłopak przyzwoity stał się łupem nieszczęścia, stracił zajęcie lub coś podobnego, to o. Casserly szedł opowiadać o wszystkim pracodawcy. Ojcowie Paulini zawsze zaliczali się do najczynniejszych wrogów nadużyć i sprzedaży napojów wysokowych. Nigdy nie wahali się mieszać do spraw

szynkówni, balów ludowych i innych podobnych zakładów. Jedną z tajemnic ich wpływu w naszym biurze policyjnym było to, że ponieważ nieustannie krążyli między ludźmi i znali wszystkich, a ponieważ byli bezinteresowni, więc można było wierzyć, kiedy określali, które z naszych narzędzi prawa postępuje źle, a które dobrze. Kiedy chodzi o policyantów, jedną z najdrażliwszych spraw jest badanie, czy rzucane na nich oskarżenia są prawdziwe, czy nie; niepodobna prawie stwierdzić tego, bo skoro stoją na stanowisku wrogiem względem zbrodniarzy lub rzekomych zbrodniarzy, więc ci zawsze kłamią, mówiąc o nich. Uczciwy człowiek, który spełnia swoje obowiązki, ma zawsze i napewno wrogów między łotrami, a człowiek nikczemny, który praktykuje szantaż wobec tych łotrów, ma najczęściej przeciwko sobie tylko ich świadectwa. Ale o Casserly i reszta jego zakonu znali osobiście policyantów i uznaliśmy, że możemy im ślepo zaufać w opiniach o postępowaniu ich dobrem lub złem. Czy policyant był protestantem, katolikiem, czy żydem, jeżeli był wiernym urzędnikiem, przedstawiali go nam, jako takiego; jeżeli był złym, był tak atestowany bez względu na wyznanie. Doświadczenie to zrobiliśmy ze znaczną liczbą pastorów i księży. Pewnego razu, w jednej i tej samej gromadzie awansów z sierżanta na kapitana znajdował się protestant, na którego zwróciliśmy uwagę dzięki gorącym pochwałom oo. Casserly i Doyle i katolik, który był gorąco popierany przez biskupa Pottera.

Duchowni mieli jeszcze inne sposoby pomaga-

nia naszemu biur policyjnemu. W pewnej chwili potrzeba nam było znacznej liczby młodych ludzi, silnych i uczciwych, do zapelnienia kadrów policyi, a nie chcieliśmy ich brać między zwykłymi typami „ward-hekler”. Znalazły się dwa nieużytkowane pola rekrutacyi w jednej z gmin katolików i w drugiej—metodystów. Rektor pierwszej dr. Wall miał liceum wstrzemięźliwości dla młodzieży męskiej swojej parafii; pastor drugiej miał kongregacyę na kawałku starej Ameryki, pochłonięty nagle przez wzrost wielkiego miasta: kołodzieje, cieśle okrętowi, robotnicy portowi i marynarze dali nam te same dobre typy oficerów, co mechanicy, palacze i kowale, pochodzący z liceum dra Walla. Między naszymi najbliższymi przyjaciółmi był inny kaznodzieja metodystowski, który początkowo był reporterem; ale poczuł nieprzeparowane powołanie do porzucenia swego zawodu i poświęcenia swego życia dzielnicy East Side, gdzie spełniał swoje obowiązki kapłańskie względem tych, którzy nie chcieli chodzić do modnych kościołów, a nie mieli wcale innych. W związku z jego dziełem najbardziej podobał mi się sposób, w jaki wszedł w stosunki nie tylko z resztą duchowieństwa protestanckiego i z pracownikami filantropijnymi dzielnicy, nie należącymi do żadnych sekt, ale i z duchowieństwem katolickim, podając im rękę w walce ze strasznymi następstwami szynku. Jeden z jego sprzymierzeńców katolickich, niejaki brat A... robił bardzo dużo dla dzieci włoskich jego parafii. Miał dużą szkołę parafialną, do której uczęszczały początkowo dzieci Irlandczyków. Stopniowo Irlandczycy przenieśli się

w górę miasta, a miejsce ich zajęli Włosi. Dziełem jego życia było prowadzenie tych małych Włochów po pierwszych i najcięższych stopniach, na drodze, która prowadzi do amerykańskiego prawa obywatelskiego.

Pozwólcie mi jeszcze przypomnieć inną instytucję, nie w New-Yorku, lecz w Albany, gdzie siostry pewnej organizacyi religijnej poświęcają całe swoje życie niesieniu pomocy dziewczętom, którym poślizgnęła się noga i upadłyby tak, że byłyby wdeptane nogami w najczarniejsze błoto, gdyby im nie podano deski ratunku, albo też, które siłą swego otoczenia, poślizgnęłyby się napewno, gdyby nie wyciągnięto do nich ręki pomocy. Jest to rodzaj pracy, którego spełnienie posiada nieskończone znaczenie zarówno ze względów państwowych, jak i jednostkowych; przecież jest to praca, która, aby mieć powodzenie, musi być prowadzona energicznie, a z miłością. Wielu mężczyzn i kobiet, nawet między tymi, którzy oceniają według wartości potrzeby tej pracy i którzy nie są zupełnie obojętni i nieczuli na wymagania ducha braterskiej miłości dla ludzkości, nie posiadają ani czasu, ani sposobności, ani zalet moralnych i umysłowych, koniecznych w tej pracy, a bardzo często wstręt do niej nie pozwoliłby im wykonać jej dobrze. Nie ma w niej nic pociągającego, chyba dla tych, którzy są jej całkiem oddani i bezinteresowni. Nie zdobywa się tu ani opinii, ani rozgłosu. Oczywiście ludzie, którzy zdają sobie sprawę, że praca taka musi być spełniona i jak niezmiernie nieprzyjemnem byłoby dla nich wziąć się do tej pracy, powinni czuć głęboko wdzięcz-

ność dla tych, którzy przystąpili do niej w całej szczerości serca i powinni popierać ich wszelkiemi siłami. Tą specjalną instytucją zarządzają przedstawicielki wyznania, które nie jest mojem, a przecież mało rzeczy dało mi więcej przyjemności, niż podpisanie bilu, rozszerzającego jej władzę i jej użyteczność. W porównaniu z żywotną koniecznością powrócenia tych nieszczęsnych istot na łono kobiecości i zdrowego życia, nieskończenie małe znaczenie ma okoliczność, wzdłuż jakiego wyznania idą ścieżki, prowadzące do tego celu.

Niewątpliwie najlepszym typem pracy filantropijnej jest ten, który pomaga mężczyznom i kobietom posiadającym wolę i zdolność do samopomocy; bo zasadniczo tego rodzaju pomoc jest tą, którą każdy z nas powinien nieustannie dawać i przyjmować. Każdy mężczyzna i każda kobieta tego kraju powinna nad wszystkie niemal inne cnoty przenosić zdolność samopomocy, a przecież każdy mężczyzna i każda kobieta będą mieli taką chwilę w swoim życiu, kiedy boleśnie będą potrzebowali pomocy bliźniego, i będą mieli inną, kiedy będą mogli udzielić pomocy bliźniemu, nawet najmocniejszemu. Cnota samopomocy jest zaletą tak wspaniałą, że nic nie może zrównoważyć jej utraty, a jednak, jak każda cnota, może być zmieniona w grzech, a staje się grzechem, jeżeli dochodzi do tego, że staje się chłodną arogancją, niemożliwością zrozumienia, że tu i owdzie najsilniejszy nawet może potrzebować pomocy i że dla tego jedynie powodu, jeżeli nie dla innych, mocny powinien być zawsze zadowolony, je-

żeli z kolei ma sposobność udzielenia pomocy słabszemu.

Stowarzyszenia chrześcijańskie młodych ludzi i młodych kobiet, które obecnie rozpowszechniły się po całym kraju, są nieocenione, bo mogą dotrzeć do każdego. Ja np. mam im wiele do zawdzięczenia, korzystałem z nich bowiem dosyć często, jako z klubów lub czytelni, kiedy bywałem w miastach, gdzie nie miałem wcale albo miałem bardzo mało znajomych. Częściowo rozwijają dobre pierwiastki tych, co do nich uczęszczają; częściowo robią to, co jest jeszcze cenniejszem, mianowicie dają mężczyznom i kobietom sposobność rozwijania własnych zalet. W większości wypadków dostarczają czytelni i sal gimnastycznych, a przez to dają sposobność mężczyznom, czy kobietom przepędzenia wolnego czasu z największym, zdawałoby się, pożytkiem i zabawą. Przeciętą jednostką nie poświęci godzin, w których nie pracuje, jakiejś rzeczy niezabawnej, a stanowczo jedynym środkiem oderwania przeciętnej mężczyzny, czy kobiety od zajęć i rozrywek niezdrowych dla ciała i duszy, jest dostarczyć im drugą alternatywę, którą przyjmą. Zakazywanie zabawy, a nawet stawianie na jednym poziomie zabaw niewinnych i zabaw występnych, zapewni tylko jaknajszerszy udział drugim. Stowarzyszenia chrześcijańskie młodych mężczyzn i młodych kobiet wykazałyby stokrotnie swoją wartość, gdyby nie zrobiły nic innego, prócz dostarczania czytelni, sal gimnastycznych i lokalów, w których nadewszystko po zapadnięciu nocy, ci, którzy nie potrzebują ogniska domowego, albo nie posiadają przyjemnych

warunków domowych, mogą zgromadzać się bez szkody. Stwarzają one pola gromadzenia się młodych ludzi, którzy inaczej byliby może pociągnięci do szynku, albo do sklepu z tytuniem, albo do jakiegokolwiek miejsca próżniaczego przepędzania czasu, gdzie w najlepszym razie rozmowa nie byłaby zbyt podniosłą, a w najgorszym mogliby zawrzeć stosunki, które doprowadziłyby ich następnie do upadku. Ponadto stowarzyszenia te dają sposobność doskonalenia się tym, którzy chcą z nich skorzystać, i istotnie korzysta z nich liczba zadziwiająca.

Powyżej wspomniałem o niektórych źródłach, z kąd braliśmy policyantów, kiedy byłem kierownikiem wydziału policyi miejskiej New-Yorku. Wielu rekrutowało się ze stowarzyszeń chrześcijańskich młodzieży. Pamiętam szczególnie jednego z nich, pochodzącego z gałęzi stowarzyszenia Bovery. Przechodziłem tamtędy pewnej nocy i sekretarz zawiadomił mnie, że mają młodego człowieka, który tylko co uratował kobietę z palącego się budynku, składając dowody wielkiej siły, zimnej krwi i odwagi. Historia zainteresowała mnie i prosiłem, aby posłano po tego młodego człowieka. Kiedy przyszedł, okazało się, że to był żyd, Otton R., który, będąc jeszcze bardzo młodym, przybył z Rosyi podczas jednej z powrotnych fal prześladowania. Widoczne było odrazu, że pod względem fizycznym jest to typ, jakiego nam potrzeba, a ponieważ uczył się czas jakiś w szkole stowarzyszenia, więc był również zdatny i pod względem umysłowym, a jego postępowanie przy ogniu świadczyło o wysokich zaletach moralnych. Wkrótce miały nastąpić egzami-

ny, poradziłem mu więc, aby próbował zdawać. Jak się łatwo domyśleć, zdał je i został mianowany. Był jednym z najlepszych policyantów, jakich mieliśmy wogóle. Następstwem jego nominacji, która oznaczała potrójny zarobek i niezmierny skok w stanowisku społecznym, było to, że był w stanie zapewnić swojej matce i babce pewien komfort i pomagać swoim małym braciom i siostrzyczkom do zdobycia stanowiska; był już bowiem dobrym synem i bratem, tak więc nic dziwnego, że został dobrym policyantem.

Nie zatrzymywałem się jeszcze nad dziełem instytucyj dobroczynnych państwa, albo tych, którzy są płatni za to, aby spełniali obowiązki miłosierdzia. Ale prosta sprawiedliwość każe wyznać, że znaczna większość owych ludzi płatnych wzięła się do dzieła powodowana nie zamiłowaniem do pieniędzy, lecz zapalem do dzieła samego, chociaż zmuszeni są pobierać pewną opłatę za swoje usługi, mając tylko własne usiłowania, jako środek zarobku. Istnieje przecież klasa urzędników publicznych, nie używanych bezpośrednio w roli agentów filantropii, których dzieło jest niemniej równie szczerze i prawdziwie filantropijnem, jak dzieło pierwszego lepszego pana lub pani ze świata. Mam tu na myśli nauczycielki szkół publicznych, których zakłady znajdują się w ubogich dzielnicach miasta. Kiedy chodzi o korporację mężczyzn lub kobiet, to twierdzenia ogólne muszą być zawsze wygłaszane z wielką ostrożnością, i trzeba zawsze przewidywać, że istnieją liczne wyjątki. Ogólnie jednak biorąc, nauczycielki (mówię o nich, ponieważ są liczniejsze od nauczycieli),

prowadząc dzieło swoje w biednych dzielnicach wielkiego miasta, tworzą ciało obywatelskie o tak podniosłych zasadach i tak pożyteczne, że nie można prawie znaleźć równego w całej społeczności i oddają sumę usług, z którymi nie mogą wchodzić w porównanie inne usługi, oddawna przez taką samą liczbę mężczyzn i kobiet. Większość kobiet, prowadzących życie czynnego poświęcenia pracy kształcenia innych, dochodzi do posiadania pewnego podniosłego i pełnego cichego zadowolenia wyrazu, który odbija się później niemal na twarzach wszystkich. Wyraz ten widać wogóle np. u najwyższych typów lekarek, pielęgniarek zawodowych i tych, które poświęcają życie swoje pracy dla ubogich; i właśnie ten wyraz spotykamy tak często na twarzach nauczycielek szkół publicznych, które doszły do tego, że uważają dobrobyt swoich pupilek za najżywotniejszy interes ich własnego życia. Nauczycielki szkół nie spełniają tylko poprostu codziennej pracy regularnej, ale zużywają ogromną sumę uwagi po za swoimi klasami; mają ogromny wpływ na kierunek życia chłopców i dziewczynek, którzy się z nimi stykają; udzielają macierzyńskiej opieki najmłodszym i w sposób nieświadomy podnoszą skalę ideałów u starszych chłopców i dziewczynek, dla których najczęściej stanowią dotykalne wcielenie tego, co jest najlepszego w życiu amerykańskim. Są one wielką siłą dla wytwarzania dobrych uczuć obywatelskich. Nadewszystko posiadają niezmierną władzę amerykanizowania i humanizowania dzieci nowo przybyłych wszelkiego stopnia, przychodzących do nas z Europy. Tam, gdzie rodzice emi-

granci mogą sobie przebić drogę życia, dzieci ich nie mają większych trudności niż dzieci urodzonych obywateli w zostaniu częścią życia amerykańskiego, dzieląc wszystkie jego przywileje i spełniając wszystkie jego obowiązki. Ale dzieci bardzo biednych obcego pochodzenia byłyby narażone na zgubę, tak samo, jak ich rodzice, gdyby nie szkoły publiczne i nadany przez nie impuls. We wszystkich tych szkołach publicznych uczą teoretycznie i praktycznie.

Zaledwie słówko powiem tu „o czerwonych, małych domkach szkolnych” naszych okręgów wiejskich, poprostu dlatego, że tam wszystkie nasze dzieci chodzą do tych samych szkół i przez to nabywają tam nieocenionego poznania solidarności naszego życia amerykańskiego. Mówilem już o tem w jednym z poprzednich artykułów i mogę tu tylko powiedzieć jedno, że niepodobna przecenić dobra, które spełnia zawarte tam stowarzyszenie, i znakomitej pracy wychowawczej ciała nauczycielskiego. Odczuwamy zawsze, że daliśmy dzieciom niemałą korzyść przez sam fakt pozwalania im na uczęszczanie do tych małych szkół okręgowych, gdzie wszystkie są traktowane i egzaminowane według tych samych przepisów. Ale dla nas na wsi szkoła okręgowa jest filantropijna tylko w tem doskonałym znaczeniu, że wszelki wspólny wysiłek dla dobra ogólnego jest filantropijnym.

W wielkich miastach bardzo zdrowe następstwa pociągly za sobą instytucje uniwersyteckie, instytucje szkół średnich i inne podobne usiłowania, mające na celu czynienie dobra praktycznego, skupiające i zbliżające szczęśliwych i mniej szczęśli-

wych życia. Powodzenie ruchów tego rodzaju nie jest rzeczą łatwą. Jeżeli instytucje te są zarządzane w duchu opiekuńczej łaskawości, albo bez znajomości życzeń, potrzeb i namiętności ludzi okolicznych, wyniknie z nich mało dobrego. Fakt, że zamiast dawać mało, dają dużo dobrych rezultatów zawdzięczamy metodom niezmiernie praktycznym i duchowi koleżeństwa, którego dowody składają najwybitniejsi kierownicy tych organizacyj. Cechą charakterystyczną ich, szczególnie dobrą, była tendencja do brania udziału w życiu politycznym. Naturalnie ma to i swoje złe strony, ale dobre przeważają na szali. Wyrażna polityka jest tylko formą zastosowania dobrych uczuć obywatelskich. Żaden człowiek nie może być istotnie dobrym obywatelem, jeżeli nie bierze żywego udziału w polityce z wysokiego stanowiska. Prócz tego, z chwilą, kiedy w polityce tworzy się pewien ruch, ludzie, którym pomagają, i ci, którzy mogliby im pomóc, dochodzą do poczucia interesu wspólnego, pochłaniającego ich, a nie sztucznego w jakimkolwiek bądź stopniu, a to ich połączy tak, jak nic innego nie byłoby w stanie. Część dobra, które wynika z takiej wspólności uczucia jest zupełnie podobna do dobra, które wynika ze wspólności uczucia w klubie, w oddziale foot-ballu, albo dziewiątce base-ballu. I to już ma w sobie dobrą stronę, ale jest strona lepsza jeszcze, polegająca na tem, że oparciem są tu motywy bezinteresowane i że daje się ludziom uczuć, iż pracują dla innych, dla społeczności, branej jako całość, również jak i dla siebie samych.

Pozostaje armia pracowników filantropijnych, którzy nie mogą być pomieszczeni w żadnej z wyżej wymienionych klas. Ci czynią najwięcej dobra, o ile są w zetknięciu z jaką organizacją, jednakże najmocniejsi powinni zachować część swego wolnego czasu, aby pracować na liniach indywidualnych, aby odpowiadać wypadkom, gdzie żaden ratunek zorganizowany nie mógłby dać rezultatów. Niewątpliwie filantropia została nieco zdyskredytowana przez różne osoby niezmiernie szkodliwe, które ostentacyjnie biorą się do niej, aby zdobyć sobie rozgłos, jak i przez ludzi mniej szkodliwych, którzy są głupimi i nieszanowanymi ofiarodawcami. Wszystko, co zachęca do pauperyzmu, co osłabia struny męskości i obniża poszanowanie siebie samego jest bez wyjątku złem. Rodzaj filantropii p. n. „zupy popularne” jest równie absolutnie demoralizującym, jak większość form występku i ucisku, i naturalnie jest szczególnie oburzającym, jeżeli przedsiębierze coś podobnego korporacja lub osoba prywatna, powodowana nie szalonym miłosierdziem, ale pobudkami reklamy osobistej. W wypadkach naglej i olbrzymiej klęski, spowodowanej przez powódź, orkan, trzęsienie ziemi albo epidemię, istnieją dość poważne powody do rozszerzenia granic miłosierdzia na bardzo wielką skalę, o ile ktokolwiek go tylko potrzebuje. Ale wypadki te są najzupełniej wyjątkowe, i metody ratunku, używane wówczas, powinny być też uważane za zupełnie wyjątkowe. W dobroczynności trzeba tylko pamiętać zawsze o jednej rzeczy, a mianowicie, że jeżeli każdy człowiek może się poślizgnąć i powinien być natychmiast postawiony na nogi, to natomiast żaden

człowiek nie może być noszony, ani ze względu na korzyść społeczności, ani też ze względu na korzyść własną. Możliwie największe dobro można uczynić, wyciągając rękę pomocną w chwili właściwej, ale usiłowanie stałego noszenia kogokolwiek może mieć tylko smutny koniec. Filantropi, pracujący rzeczywiście ciężko, przepędzający całe życie na czynieniu dobra bliźnim, nie należą wogóle do klasy wrzących i rozumieją dokładnie niewłaściwość darów głupich i bez wyróżniania, oraz dzikich i surowych planów reformy społecznej.

Młody entuzysta, który po raz pierwszy styka się ze strasznym cierpieniem i niszczącym upadkiem, tak wyraźnymi w niektórych częściach naszych wielkich miast, może na widok ich zblednąć i stracić głowę. Jeżeli ma skrzywienie w swoim ukształtowaniu moralnem, czy umysłowem, to nigdy już nie wróci do równowagi, ale jeżeli jest zdrowy i czysty, to wkrótce zda sobie sprawę, że skoro rzeczy stoją źle, to nie usprawiedliwia nikogo, aby je robił jeszcze gorszemi, i że jedyną wierną regułą dla każdego człowieka jest pełnienie obowiązku w duchu zdrowego i czystego rozsądku. Żaden z nas nie może bardzo daleko posunąć świata, ale świat posuwa się naprzód tylko wtedy, kiedy każda jednostka wielkiej liczby spełnia swój obowiązek.

VI.

CHARAKTER I POWODZENIE.

(Artykuł w *Outlook*, z d. 31 marca 1900 r.).

Przed rokiem, czy przed dwoma laty rozmawiałem z pewnym znakomitym profesorem uniwer-

sytetu w Yale, jednym z najwybitniejszych uczonych w kraju, który jest nawet więcej niż uczonym, bo człowiekiem w całym znaczeniu tego słowa. Rozprawialiśmy o partyach, które brały udział w konkursie foot-ballu między uniwersytetami Yale i Harvard. Mówiąc o jednym z graczy, profesor zrobił następującą uwagę:

„Radziłem im, aby go nie brali, bo był miękki w swoich naukach, a doświadczenie moje wykazuje, że kto bywa miękki w naukach, bywa taki sam w grze w foot-ball; w obu wypadkach ceni się tylko charakter”.

Moc fizyczna jest dobra, moc umysłowa jest jeszcze lepsza, ale o wiele wyżej od obu trzeba cenić charakter. Prawdą jest naturalnie, że geniusz może w pewnych wypadkach zrobić więcej, niż dobry i mężny towarzysz, który nie jest geniuszem; w sportach różnych wielka siła fizyczna może mieć przewagę nad słabością, chociaż w słabym ciele może bić serce lwa. Ale wogóle, w wielkiej walce życia żadna świetność inteligencji, żadna doskonałość w rozwoju fizycznym nie będą się liczyły, kiedy będą zważone na szali z całokształtem cnót czynnych i biernych, zalet moralnych, które grupujemy ogólnie pod mianem charakteru; i jeżeli pomiędzy dwoma konkurentami w sporcie szkolnym, czy w pracy szkolnej różnica charakteru po jednej stronie jest taka sama, jak różnica inteligencji i siły po drugiej, to zwycięży strona charakteru.

Oczywiście, nie znaczy to bynajmniej, ażeby wolno było bezkarnie zaniedbywać inteligencję, czy siłę cielesną. Przeciwnie, znaczy to, że trzeba roz-

wijać obie i że nie jest najmniejszym zyskiem z rozwoju obu ten wpływ bezpośredni, który wywiera sam ten rozwój na charakter. W bardzo ordynarnych i nieukształconych społecznościach wszelkie szkolnictwo jest mniej lub więcej pogardzane; ale obecnie w Stanach Zjednoczonych mamy istotnie bardzo mało miejscowości, gdzie szkolnictwo nie byłoby uważane za konieczność. Istnieje przecież wielu ludzi, chęlnych się „twardą głową” i „praktycznością”, którzy sztydzą z nauki książkowej i z każdej wyższej formy wychowania, pod pozorem, że ta dodatkowa kultura umysłowa jest conajmniej zbyteczną, a bywa zwykle szkodliwą w życiu praktycznym.

Niedawno dwóch z najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych starało się uzasadnić to twierdzenie, że chodzenie do szkół jest faktyczną niekorzyścią dla młodego człowieka, który dąży do powodzenia w życiu. Niewątpliwie, najwybitniejsi ludzie pod względem powodzenia, jakich mieliśmy kiedykolwiek, ludzie, jak np. Lincoln, nie mieli sposobności uczęszczać do szkół, ale posiadali taki nieposkromiony upór, tak wyraźne poczucie wartości rozumu, że wzięli się do roboty i sami nauczyli się daleko więcej, niżby ich nauczyła jakakolwiek akademia. Z drugiej strony chłopcy o słabych zdolnościach, którzy po przejściu przez szkoły początkowe idą do wyższych, zamiast iść do pracy, mogą być narażeni na poważne niedogodności, zamiast osiągnięcia korzyści. Ale wogóle, jeżeli chłopiec posiada w sobie należyte podstawy i zalety, to będzie z wielką dla niego korzyścią, jeżeli położenie

jego jest o tyle szczęśliwie, że może sobie pozwolić na kilka lat kultury umysłowej dodatkowej.

Błąd dwóch ludzi bogatych, cytowanych wyżej, polegał na tem, że w znacznej mierze właśnie skutkiem braku kultury umysłowej, nie wiedzieli, czem jest właściwie powodzenie. Mowy ich zdradzały tylko ich własne ograniczenie, ale nie dostarczały argumentów przeciw wykształceniu.

Pierwszym czynnikiem powodzenia musi być koniecznie zarabianie takiej sumy, która wystarczałaby na utrzymanie samego człowieka i na wychowanie tych, co od niego zależą. W znacznej większości wypadków powodzenie oznacza nieco wyższe zarobki, niż wyżej wskazane. Ale zdobycie majątku nie jest bynajmniej jedynem stwierdzeniem powodzenia, nigdy w świecie! Po zebraniu pewnej ilości bogactw zbieranie większej ilości ma wistocie bardzo małe znaczenie ze stanowiska powodzenia takiego, jakim winno być pojmowane jednocześnie przez społeczność i przez jednostki. Ludzie bogaci, którzy robią dobry użytek ze swoich bogactw, są w społeczeństwie wielką potęgą dla dobra i pomagają do budowania tej materialnej pomysłności narodu, która winna być podwaliną idealnej wielkości narodowej; ale gdyby to była jedyna forma powodzenia, to zaprawdę naród byłby bardzo ubogi w swoich sprawach. Szczęśliwi mężowie stanu, żołnierze, marynarze, podróżnicy, historycy, poeci, mężowie nauki są równie niezbędnie potrzebni dla wielkości narodowej, a faktycznie daleko bardziej konieczni, niż pierwszy lepszy szczęśliwy aferzysta.

Człowiek średniej miary, w jakiego rozwinie się chłopiec przeciętny, nie będzie oczywiście fenomenem pod żadnym względem, ale, jeżeli będzie chciał tylko spróbować, może być zdolny pod wszystkimi względami, a sposobności spełnienia dobrej pracy będą niesłychanie powiększone, jeżeli kształcił swój umysł. Oczywiście, jeżeli rezultatem doświadczeń jego ze szkoły wyższej, pensjonatu, czy uniwersytetu będzie przekonanie, że jedynym gatunkiem wiedzy jest ta, którą można znaleźć w książkach, to zrobi bardzo mało; ale jeżeli zachowa równowagę umysłową — to znaczy, jeżeli wykaże charakter — zrozumie odrazu, co wiedza może zrobić, a czego nie może, i będzie wart o tyle więcej, o ile jej więcej nabędzie.

W znacznej mierze sprawdza się to wszystko w stosunku do rozwoju fizycznego. Zupełnie tak samo, jak istnieje pewien gatunek ludzi, który wyśmiewa się z pracy szkolnej, ponieważ nie przypuszcza, że może przynieść natychmiastowe owoce w postaci środków pieniężnych—inny typ ludzi wyśmiewa sporty szkolne, ponieważ nie widzi ich bezpośrednich korzyści w życiu praktycznym.

Naturalnie, jeżeli pogląd ten jest całkiem przesadzony, to jest wręcz szkodliwy, jak z drugiej strony szkodliwą jest i przesada w sportach. Dobrze jest dla chłopca, jeżeli był „kapitanem” swego oddziału szkolnego, czy uniwersyteckiego, ale jest rzeczą bardzo złą, jeżeli w dwadzieścia lat później wszystko, co można o nim powiedzieć, streszcza się w tem, że w dalszym ciągu interesował się footballem, base-ballem, boksowaniem i że ma za sobą

wspomnienie, iż bywał niegdyś kapitanem. Bardzo bystry obserwator zwrócił uwagę na to, że nie jest niemożliwym, iż zbytne zamiłowanie sportów i gier poważnie zaszkodziło armii brytańskiej, prowadząc oficerów, a nawet żołnierzy do zaniedbywania twardej, praktycznej pracy ich zawodu dla miłości wiosłowania, foot-ballu, base-ballu, polo i tenisa—aż póki ręka Boerów nie zgotowała im srogiego przebudzenia. Znaczy to poprostu, że nie ma tak zdrowej zabawy, której nie możnaby nadużyć. Student uniwersytetu, który zapracowuje się, aby stać na czele swego kursu, i który zaniedbuje zdrowie i rozwój fizyczny, pracując umysłowo, aby mieć dobre stopnie, może sobie bardzo zaszkodzić, a przykład jego dowodzi tylko, że nadużycie nauki jest złe. Niemniej pozostaje faktem, że nauka sama w sobie jest rzeczą podstawową. Toż samo dotyczy sportów. Jeżeli cyklizm, wiosłowanie, foot-ball jest traktowane jako cel życia przez znaczną część społeczności, to tem samem dowodzi, że znajduje się w warunkach niezdrowych. Traktowane tak, jak być powinny, t. j. jako gry dobre i zdrowe, sporty przedstawiają w wielkie korzyści nie tylko dla ciała, ale i dla charakteru. Dzielna praca naukowa i dzielne ćwiczenia sportowe, wymagające wysiłku fizycznego i nieustannej zaprawy, wymagają koniecznie charakteru.

Różnego rodzaju zalety współdziałają w tworzeniu charakteru, bo w znaczeniu energii nazwa ta obejmuje zarówno cnoty pozytywne, jak i cnoty negatywne. Jeżeli mówimy o chłopcu lub o mężu,

że „posiada dobry charakter”, to chcemy przez to powiedzieć, że nie tylko nie robi wielu złych rzeczy, ale że robi wiele rzeczy, wymagających znacznej woli i przygotowania do narażania się na rozmaite nieprzyjemności. Trzeba, żeby nie kradł, żeby nie upijał się, trzeba, żeby nie był występny w żadnym rodzaju; trzeba, aby nie był nikczemnym, ani brutalem; trzeba, żeby nie uciskał słabszych. Faktycznie trzeba, aby powstrzymywał się od wszystkiego, co jest złem. Ale prócz powstrzymywania się od zła, trzeba, aby czynił dobro. Trzeba, żeby był mężnym i energicznym, trzeba, aby był stanowczym i wytrwałym.

Biblia wpaja w nas zawsze poczucie konieczności cnót czynnych i biernych, jakkolwiek niektórzy ludzie, głoszący z zawodu chrystyanizm, lubią kłaść główny nacisk na cnoty negatywne, czyli bierne. Tymczasem musimy być nietylko niewinnymi, jako gołębicę, ale i mądrymi, jako węże. Jest daleko łatwiej stosować się do pierwszej części zalecenia, niż do drugiej; podczas gdy z drugiej strony dla dobra ludzkości ma daleko większe znaczenie to, aby dobroci naszej towarzyszyła zawsze mądrość, aniżeli abyśmy byli poprostu tylko niewinni. Jeżeli do mądrości węża dołączymy chytryść węża, to straszną będzie szkoda, którą przyniesiemy, a jeżeli z najlepszymi intencjami dojdziemy tylko do tego, że zasłużymy na określenie „niewinnych”, to prawie niema po co żyć na świecie.

Niema pewnie ważniejszego czynnika charakteru niż zdecydowana stanowczość. Człowiek, który chce zostać wielkim człowiekiem, lub który chce,

aby był uważany za coś w przyszłości, powinien się zdecydować nie tylko na zwalczenie tysiąca przeszkód, ale i na zwyciężanie pomimo tysiąca niepowodzeń, czy porażek. Może zdoła osiągnąć powodzenie na drodze, na którą się początkowo rzucił, może też wypadnie mu spróbować czegoś całkiem nowego. Z jednej strony nie trzeba, aby był lekkomyślnym i niezdecydowanym, a z drugiej nie trzeba, aby obawiał się spróbować nowego zawodu, jeżeli upadł w pierwszym.

Grant był szczęśliwy jako chłopiec i jako młodzieniec; potem przyszedł okres niepowodzeń i trudności, a potem wojna domowa, skorzystał więc z nastrożającej się sposobności i podniósł się do takiego poziomu, że nazwisko jego zapisane jest między największymi imionami naszej historii.

Młody Lincoln, walcząc z nieobliczalnymi przeszkodami, wytknął sobie drogę, próbując to tego, to owego, aż wreszcie i on także rzucił się śmiało w fale naszego życia narodowego w tej epoce, kiedy tylko najśmielsi i najmędrsi mogli postępować tak, aby zdobyć cześć i powodzenie; w walce zdobył zarazem cześć i śmierć, a nazwisko jego zajęło swoje miejsce między największymi mężami ludzkości.

Charakter uzewnętrznia się zarówno w czasie wojny, jak i podczas pokoju. Jak największa wynalazczość, najdoskonalsze uzbrojenie nie zrobią z tchórzeza żołnierza, tak samo, żadne wykształcenie umysłowe, żadna siła fizyczna nie zrobią wielkim narodu, jeżeli mu brak podstawowych zasad uczciwości i czystości moralnej. Po śmierci Aleksandra

Wielkiego prawie całość tego, czem był wówczas świat cywilizowany, została podzielona między monarchie greckie, rządzone przez jego towarzyszków i ich następców. Ten świat grecki był bardzo świetny i bardzo bogaty. Zawierał potężne monarchie wojskowe i olbrzymie miasta handlowe, pod rządami republikańskimi, które osiągnęły najwyższy szczyt powodzenia handlowego i przemysłowego. Sztuka kwitnęła w stopniu nadzwyczajnym; nauki posuwały się naprzód, jak nigdy przedtem. Były akademie dla literatów, było dużo mówców, dużo filozofów. Kupcy i aferzyści wzbogacali się szybko i podczas długiego okresu czasu żołnierze greccy zachowali wyższość i rozgłos, które osiągnęli pod potężnym zdobywcą wschodu. Ale serce ludu było nieuleczalnie fałszywe, zdradzieckie i znieprawione. Prawie każdy mąż stanu miał swoją cenę, prawie każdy żołnierz był najemnikiem, który pod pierwszym lepszym wpływem gotów był zdradzić najświętszą sprawę. Zepsucie moralne żarło całą budowę społeczną i domową aż do czasu, kiedy niewiele więcej niż w stulecie po śmierci Aleksandra, państwo, jakie pozostawił, stało się zwyczajną błyszczącą łupiną, która załamała się jak domek z kart pod naciskiem Rzymian, bo Rzymianie przy swych wszystkich wadach byli wówczas rasą w całej pełni męzką, rasą o mocnym, męzkim charakterze.

Tak samo dla narodu, jak dla jednostki, jedyną rzeczą koniecznie wymaganą jest charakter — charakter, który zarówno śmie i czyni, jak znosi, charakter czynny w praktykowaniu cnoty, a nie

mniej stanowczy w odmowie czynienia czegokolwiek, co byłoby występkiem i znieprawieniem.

‘VII.

SIÓDME I ÓSME PRZYKAZANIE W POLITYCE.

(Artykuł w *Outlook* z d. 12 maja 1902 r.).

Dwa przykazania, które znajdują specjalne zastosowanie w życiu publicznem, są — siódme i ósme. Nietylko każdy polityk, wysoki, czy niski, ale każdy obywatel, który interesuje się polityką, a szczególnie każdy człowiek, który w dzienniku, czy na zgromadzeniu wyborczem popiera lub potępia jakąkolwiek politykę publiczną, albo jakiegokolwiek człowieka publicznego, powinien pamiętać, że dwoma podstawowymi przepisami jego doktryny powinny być: „Nie kradnij!” i „Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu swemu”. Powinien także oczywiście pamiętać, że masy ludzi, które gwałcą prawo moralne, zawarte w tych dwóch przykazaniach, nie powinny być usprawiedliwiane dlatego, że uszły szponów prawa ludzkiego. Kradzież i rabunek, krzywoprzysięstwo i namowa do krzywoprzysięstwa są zbrodniami, karanymi przez sądy, ale niejedyn człowiek, który technicznie nie popełnia nigdy żadnej z tych zbrodni, jest jednak moralnie tak samo winny, jak jest nim brat jego, wchodzący do więzienia, mniej zręczny, ale nie gorszy, a może nieskończenie mniej niebezpieczny.

Co się tyczy siódmego przykazania, to chociaż uwaga jednego z założycieli naszego rządu, że cała

sztuka polityki polega na tem, aby być uczciwym, jest przesada, jednakże pozostaje prawdą, że absolutna uczciwość jest—jakby powiedział Cromwell — jedną z podstaw zdrowego życia politycznego. Możemy sobie pozwolić na różne pojmowanie cel, taryf, polityki wewnętrznej i zagranicznej, ale nie możemy sobie pozwolić na różnicę w pojmowaniu uczciwości, jeżeli chcemy, aby nasza rzeczpospolita była trwałą. Żadna społeczność nie jest zdrową, jeżeli trzeba w niej wyróżniać polityka między jego towarzyszami, dlatego, że „jest uczciwy”. Uczciwość nie tyle jest zaletą odznaczającą, ile zaletą niezbędną, aby oddawać skuteczne usługi sprawie publicznej. Jeżeli w życiu publicznem człowiek nie jest uczciwy, to nie mamy prawa zachować go, jakkolwiek świetne byłyby jego zdolności, jakkolwiek wielką byłaby moc czynienia dobrego w niektórych gałęziach pracy. Prawdopodobnie w teoryi znajdzie się bardzo niewiele ludzi, nie zgadzających się na powyższe zasady, w praktyce przecież istnieje bardzo wiele wahania w tym kierunku. Po za pewnemi znanemi środowiskami ostrego zepsucia, liczba sług publicznych, biorących łapówki, nie jest wistocie bardzo znaczna. Ale często opinia nieuczciwości wyrabia się drogami ubocznymi. Jest wielu mężów publicznych, którzy odrzuciliby z oburzeniem propozycję łapówki, a jednak dają niektórym korporacyom specjalne przywileje prawodawcze i wykonawcze, ponieważ te uczestniczyły w wielkiej mierze w kosztach walki wyborczej; którzy pozwalają na niedokładne i dziwaczne wykonywanie robót, jeżeli przedsiębiorca ma wpływy polityczne, albo w każdym razie,

którzy pozwalają na to, że urzędnicy biorą pieniądze, nie dając wzamian odpowiedniej ilości pracy, dlatego, że oddali pewne usługi polityczne, lub że są protegowani przez wybitnych naczelników stronnictw. W licznym szeregu tego rodzaju postępków są rozmaite stopnie winy moralnej, ale ostatecznie, pośrednio lub bezpośrednio, każdy wypadek tego rodzaju w sposób niebezpieczny leży w pobliżu linii granicznej przykazania. które, zakazując kradzieży zakazuje tem samem współnictwa w kradzieży, albo ułatwiania bezkarności kradzieży. Jednym z ulubionych planów reformatorów jest obmyślenie sposobu przeszkodzenia wielkim korporacyom wnoszenia wielkich składek na walkę wyborczą, przez co osiągają wpływ niepożądany i niewłaściwy. Ale najlepszym sposobem przeszkodzenia im w wielkich datkach pieniężnych byłoby poprostu wybieranie na urzędników publicznych nie zawodowych pogromców korporacyi, bo ci ludzie w praktyce bywają zazwyczaj najbardziej słuźalczemi ich narzędziami, ale ludzi, którzy mówią i myślą, że nie będą oni przeciw korporacyom, że z jednej strony nie dadzą się przerazić wrzawą ludową i przeszkodzić w oddaniu im sprawiedliwości, a z drugiej żadnym interesem materyalnym nie dadzą się skusić do wymierzania im więcej niż sprawiedliwości.

Na konferencyi Anti-Trustu ostatniego lata p. Bryan ironicznie zauważył, że „naturalnie” New-York nie przeprowadzi prawa, zabraniającego wnoszenia składek przez korporacje (syndykaty). Miał słuszną przypuszczać, że stan New-York, póki zachował jeszcze racjonalne obyczaje obywatelskie,

nie uchwali śmiesznego prawa, które nie może stać się skutecznem, lecz dąży poprostu do mydlenia oczu w czasie kampanii wyborcom, najmniej zdolnym do samodzielnego myślenia. Ale nie będzie najmniej potrzebny takiego prawodawstwa, jeżeli tylko duch publiczny będzie dostatecznie zdrowy, dostatecznie daleki i od zepsucia i od demagogii, aby czuwać nad tem, żeby każda korporacya otrzymywała tylko to, do czego ma ściśle prawo i nic więcej; i to właśnie robią teraz w New-Yorku ludzie, których nieuczciwe stowarzyszenia obawiają się sto razy więcej niż agitatorów, demagogów, którzy są tylko postrachem korporacyj uczciwych.

Nie wystarcza oczywiście, aby urzędnik publiczny był tylko uczciwym; żadna uczciwość nie pomoże, jeżeli prócz tego nie będzie mężny i rozsądny. Słabego i tchórza nie ocali sama tylko uczciwość, ale bez niej człowiek mężny i zdolny jest poprostu społecznym drapieżnikiem, który powinien być ściągany i tępiony przez każdego miłującego prawo. Żaden człowiek zepsuty, żaden człowiek, przebaczący zepsuciu, nie może oczywiście spełniać swego obowiązku wobec społeczności. Kiedy prawda ta stanie się aksjomatem naszego życia politycznego, wtedy, a nie przedtem, zobaczymy takie podniesienie moralne ludu, które uczyni niemożliwem np. rządy Tammany - Hallu w New-Yorku, tak, jak niemożliwem np. byłoby powołanie znowu do życia rabunku baronów średniowiecznych.

Wielkiem jest dla naszego kraju niebezpieczeństwo, wynikające z zaniedbania u naszych ludzi publicznych stosowania siódmego przykazania i z braku

wrażliwości publicznej, która na to pozwala. Jednakże nie będzie przesadą twierdzenie, że takie same zupełnie niebezpieczeństwo zagraża ze strony tych, którzy od początku do końca roku gwałcą ósme przykazanie, świadcząc fałszywie przeciwko ludziom uczciwym, obniżając przez to ich wartość, a zarazem podnosząc ludzi nieuczciwych, tak, że ci i tamci znajdują się na jednym poziomie. W jednym i w drugim wypadku jedna i druga grupa złoczyńców przyczynia publiczności taką samą szkodę. Słowo „kłamca” jest akurat równie brzydkim słowem, jak „złodziej”, bo w jednym i drugim razie oznacza równie brzydki grzech. Jeżeli człowiek kłamie pod przysięgą lub każe kłamać innemu pod przysięgą, to popełnia krzywoprzysięstwo lub namowę do krzywoprzysięstwa i staje się winnym wobec prawa obowiązującego. Wedle prawa wyższego, wedle prawa moralności i prawości, jest winien zupełnie tak samo, jeżeli kłamie nie przed sądem, ale w dzienniku lub na zgromadzeniu wyborczem, a według wszelkiego prawdopodobieństwa, następstwa jego postępowania są daleko szersze i daleko bardziej zgubne. Różnica między krzywoprzysięstwem a kłamstwem nie istnieje w świecie pojęć moralnych, w etyce, istnieje tylko w prawie formalnem.

Ten sam człowiek może uchybiać obu przykazaniom; pewna grupa ludzi może gwałcić jedno, inna grupa drugie. W naszym życiu obywatelskiem najgorsi gwałciciele prawa uczciwości zawdzięczają znaczną część swego bezpieczeństwa tym, którzy grzeszą wobec prawa moralnego, świadcząc fałszywie o swych uczciwych bliźnich. Grzech jest oczy-

wiecie szczególnie oburzającym, jeżeli łączy się z obłudą, jeżeli jest popełniany w imię moralności. Mało polityków robi tyle złego, co wydawca dziennika, duchowny lub reformator świecki, który dzień po dniu za pomocą ostrych a niełojalnych zarzutów, skierowanych przeciwko apostołom uczciwości, osłabia ich na korzyść działaczy wyraźnie występnych. Potrzeba nam nieustraszonej krytyki ludzi nieuczciwych, a nawet uczciwych na wszystkich tych polach, gdzie postępują źle, ale jeszcze bardziej potrzeba nam krytyki, która byłaby uczciwą zarazem w tem, co mówi, jak i w tem, co pozostawia niedomówionem, uczciwej w słowach i uczciwej we wrażeniach, które chce wyrzeć na umysłach czytelników, czy słuchaczy.

Potrzeba nam zupełnej uczciwości w życiu publicznem, a nie osiągniemy jej póty, póki nie będziemy pamiętali, że winna z nią iść ręka w rękę prawda w słowach, póki nie dojdziemy do przekonania, że równie ważnem jest nie popełnić kłamstwa w stosunku do człowieka przyzwoitego, jak mówić prawdę o ludziach nieuczciwych.

VIII.

DOBRE i LEPSZE.

(Artykuł w *Churchman*, z d. 17 marca 1900 r.)

Między ludźmi, którym winni jesteśmy głęboką wdzięczność za pomoc, udzielaną dążącym do dobrego rządu w Albany, trzeba wymienić biskupa Doane. Wszyscy z nas, którzy poszli do stolicy

stanu, usiłując ciężko wydrzeć możliwie najlepsze rezultaty wpośród niesprzyjających okoliczności, czuli się wzmocnieni i zachęcani pod każdym względem żywym zainteresowaniem, jakie biskup okazuje każdej dobrej sprawie, bystrą inteligencją, jaką wykazuje przy ocenianiu „potrzeb chwili” i zdrowym równie dalekim od fanatyzmu, jak od cynizmu, czystym duchem, z jakim przystępuje do wszelkich spraw publicznych.

Przed niedawnym czasem biskup podał zupełnie nieświadomie doskonałą charakterystykę swego własnego postępowania, cytując ustęp z życiorysu arcybiskupa Bensaona. W liście, który arcybiskup pisał do swego kanclerza o prawie, regulującym sprawę patronażu w kościele anglikańskim, znajduje się takie zdanie:

„Naturalnie, bil ten nie jest moim ideałem, ale zawiera staranny zbiór przepisów, co do których można reklamować, których odrzucenie byłoby nieprzyzwoitem i które wprowadzą znaczne różnice we władzy naszej postępowania przyzwoitego, stosownie do okoliczności. Zdobądźcie tę platformę, a będzie to krok do bardziej idealnych środków. Nie chcę, aby w dalszym ciągu lepsze było śmiertelnym nieprzyjacielem dobrego. Idziemy naprzód przy pomocy stopni porównawczych”.

Jest to rzeczywiście równie doskonały, jak lapidarny wyraz stanowiska, jakie musi zachowywać każdy człowiek publiczny, każdy przywódca i kierownik myśli publicznej, który zamierza dokonać dzieła istotnie pożytecznego dla społeczeństwa. Z żywym uczuciem melancholii stwierdzamy fakt,

że wiele najgorszych praw, zapisanych w księgach statutu, zostało wniesionych w najlepszych zamiarach przez ludzi najzupełniej dobrej woli. Proste życzenie czynienia dobrze samo w sobie nie może stworzyć dobrego męża stanu, jak nie może stworzyć generała. Bezżytecznie nadmieniać, że nic nie jest w stanie zrównoważyć tej chęci czynienia dobrze. Równie jak wielkie zdolności wojskowe Arnolda czynią zdradę jego jeszcze bardziej wstrętną, tak samo nasza polityka państwowa nie może być wzniesiona na właściwy poziom czystości i zdolności, póki potępienie, wyrażone zdradzie Arnolda, nie będzie stosowane z taką samą surowością względem każdego męża stanu, który zdradza lud przez zepsucie. Jedno jest równie wielkim skandalem, jak drugie. Kiedy nie można zaufać honorowi żołnierza, kończy się wszelka władza wojskowa, a ściśle biorąc, ginie wielkość społeczna, kiedy podstawą jej przestaje być prawność obywatelska.

Naturalnie, każdy wie, że żołnierz, który jest w stanie przynieść zaszczyt swemu krajowi, musi być więcej niż zwyczajnie uczciwym; to samo sprawdza się i na mężu stanu. Trzeba, aby miał ideały wysokie, a przywódca opinii publicznej na trybunie, w prasie, na kazalnicy, w zgromadzeniach wyborczych musi głosić wysokie ideały. Ale wyznawanie, czy głoszenie tych wysokich ideałów może być nie tylko bezżytecznym, ale może być nawet wyraźnym złem, jeżeli nie prowadzi do wysiłku osiągnięcia możliwie najlepszego, jeżeli doskonałość nie może być osiągnięta, a w życiu tem zdarza się to bardzo rzadko. Wszelki przywódca i promotor wiel-

kiej reformy musi walczyć nietylko z otwartymi i wyraźnymi jej wrogami, ale z drugiej strony z jej skrajnymi obrońcami, którzy domagają się niemożliwości i podają rękę skrajnym oponentom w zwalczaniu rozsądnych zwolenników reformy. Typowym przykładem może tu służyć Wendel Philipps, który poparł swym wpływem, jakkolwiek nieznacznym, opozycję „miedzianogłowych” przeciwko ponownemu wyborowi Abrahama Lincolna.

Związek między Bilfilem a Black Georg'em jest stary jak świat. Bilfil występuje zawsze w imię moralności, aczkolwiek naturalnie często wcale nie jest moralny. Wielkim błędem jest wiara, że człowiek skrajny jest lepszy niż umiarkowany. Zazwyczaj różnica polega nie na tem, że jest moralnie mocniejszy, ale że jest umysłowo słabszy.

Nie jest cnotliwszy, jest tylko poprostu bardziej szalony. W naszym życiu politycznym sprawdza się to szczególnie na tych, którzy są największymi pesymistami w ocenianiu warunków naszego życia politycznego. Istnieje oczywiście olbrzymi obszar ulepszeń, nieskończona potrzeba ostrej i nieustraszonej krytyki, ale polepszenie może być tylko następstwem prawego i mądrego wysiłku. Opóźniają je ci skrajni, których przesada wywołuje reakcję, a nadewszystko opóźniają je ci najgorsi wrogowie naszej uczciwości publicznej, którzy przez swoje nieustanne napaści na dobrych dają możliwie najdoskonalsze poparcie złym.

Szkodnicy tego rodzaju nie zajmą nam dużo czasu. Chociaż skrajni w pewnym kierunku są moralnie gorsi, a nie lepsi od umiarkowanych, pozo-

staje przecież cała gromada ludzi, którzy istotnie usiłują osiągnąć lepsze, a którzy z powodu nieporozumienia, choć w dobrej wierze, pozwalają na to, aby lepsze było wrogiem dobrego. Postępowanie ich może być uzasadnione w rzadkich okolicznościach, a ponieważ mają słuszość w jednym wypadku na sto, więc bywają dziewięćdziesiąt dziewięć razy ślepi na szkodę, którą przynoszą. Ludzie ci powinni nade wszystko zrozumieć, że zdrowy rozwój normalnie nie może być następstwem rewolucyi. Rewolucya bywa czasami potrzebną, ale jeżeli rewolucye stają się przyzwyczajeniem, to kraj, który pustoszą, stacza się po równi pochyłej. Historia we wszystkich swych formach jest zgodną ze zdrowymi i rozumnymi wysiłkami.

Nigdy nie trzeba zgadzać się na kompromisy, które ciągną za sobą uwsteczniczenie. Ale nieustannie idąc naprzód, musimy zdawać sobie sprawę, że normalnie warunkiem prawdziwego postępu jest, ażeby nie był dość szybki do wywołania wzburzenia, a przez to i przestanku w ruchu postępowym. Zwłaszcza w tym kraju, gdzie właściwie nie mamy do zwalczania jakiegoś zła konkretnego, ale raczej ogólne obniżenie ideałów, trzeba pamiętać, że dzierżyć wysoko sztandary, to nie znaczy wcale zatykać ich na niemożliwych wysokościach, które w końcu trzeba by porzucić. Nie może być kompromisu z wielkimi zasadniczymi prawami moralności. Mąż publiczny, który pośrednio lub bezpośrednio gwałci siódme przykazanie, jest zupełnie tak samo winny, jak wydawca, czy mówca, który gwałci ósme, a bez znaczenia jest wzgląd, czy w jednym razie przyczyną

winy jest przedajność, czy w drugim chorobliwa próżność i niska zawiść. Jeżeli człowiek jakiś jest nieuczciwy, to powinien być wygnany z życia publicznego. Jeżeli jakaś polityka jest występna i powoduje zło, to powinna być zwalona za wszelką cenę. Ale kiedy tylko dochodzimy do niezliczonych środków i wysiłków, aby czynić dobrze, miejmy zawsze wyraźnie i jasno przed oczyma, że podczas gdy musimy się zawsze wyteżać w kierunku najwyższego dobra, jakie może być osiągnięte i nie powinniśmy się zadawałać mniejszem, to przecież robilibyśmy tylko źle, gdybyśmy, broniąc niepowstrzymanie dobra niemożliwego, zamknęli sobie sposobność dokonania istotnego zmniejszenia zła istniejącego i groźnego.

IX.

OBIETNICA I WYKONANIE.

(Artykuł w *Outlook* z d. 28 lipca 1900 r.)

Wyrażanie zdumienia i obrzydzenia z powodu cynicznej podłości doktryn Machiavelli'ego jest zwyczajem ogólnym. I jedno i drugie, i zdumienie i obrzydzenie, są uzasadnione — chociaż byłoby zapewne rozsądniej zachować te uczucia raczej dla społeczeństwa, które Włoch *opisuje, niż dla niego samego. Ale dziwnem jest, że tak mało zwraca się uwagi na fakt, że system Machiavelli'ego opiera się w całości na jego pogardliwym przekonaniu o szaleństwie i niskiej moralności społecznej tłumu, który domaga się pięknych obietnic, a jest zupełnie

obojętny na ich spełnienie. I tak, mówi np.: „Trzeba być wielkim kuglarzem i wielkim obłudnikiem, bo ludzie są tak głupi i tak łatwo ulegają potrzebom chwili, że ten, kto chce oszukać, znajdzie zawsze innego, aby być oszukanym. I dlatego trzeba, aby rządzący zwracał na siebie niezmierną uwagę, aby nie wypuścił z ust żadnego słowa, któreby nie było wyrazem pobożności, zaufania, ludzkości, religii i prostej natury, i trzeba, aby ukazywał się oczom i uszom cały nadziany temi zaletami... bo pospolitość daje się zawsze uwieść pozorami i wypadkami, a na tym świecie panuje wyłącznie pospolitość”.

Wynika ztąd jasno, że system Machiawela opiera się po części na zupełnej obojętności co do spełnienia obietnic księcia, a po części na chciwych żądaniach niemożliwych obietnic u ludu. Nikczemność postępowania, którego broni Machiavel, jako jedynie właściwego dla władców, zwraca uwagę ogólną, ale szaleństwo, które jedynie czyni możliwą taką nikczemność, nie jest mniej godne uwagi. Obłuda jest występkiem szczególnie oburzającym zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym; a w życiu publicznym — przynajmniej na wysokich stanowiskach — może być praktykowana na wielką skalę i przez pewien okres czasu jedynie tam, gdzie lud w swojej masie potwierdza istotnie opis Machiavela i znosi dobrze zupełny rozdźwięk między obietnicą i jej spełnieniem.

Trudno byłoby powiedzieć, jaka droga prowadzi najpewniej do tak zupełnego rozdźwięku: z jednej strony u męża publicznego tolerancja w stosunku do niespełnionych obietnic, które mogły być spełnio-

ne, albo z drugiej strony nacisk publiczności na obietnice, o których wie lub przynajmniej wiedzieć powinna, że spełnionemi być nie mogą. Jeżeli w mowie publicznej lub w programie partyjnym naszkicowana jest polityka, o której wiadomo, że nie może, ani nie chce się jej prowadzić, to fakt podobny jest potępieniem nietylko mówcy, czy autora programu, ale także i uczucia publicznego, do którego się odwołują. Jeżeli pewna grupa ludu domaga się od kandydata obietnic, o których nie może nie wiedzieć, że dotrzymane być nie mogą, i jeżeli po jego odmowie popiera lekkomyślnie kandydata, który natychmiast obiecuje wiek złoty, to w podobnych wypadkach lud amerykański idzie w kierunku zaprowadzenia w Ameryce niektórych warunków życia publicznego, które wytworzyły rozkład i tyranję we Włoszech średniowiecznych. Tego rodzaju postępowanie oznacza, że zdolność do samorządu jest w zaniku, a twardy zdrowy rozsądek, z jakim lud amerykański, wzięty w całości, odmawia sankcyi takiemu postępowaniu, jest najlepszym dowodem i jedyną rękojmią jego zdolności do wypełniania wysokiego i trudnego zadania rządu największą z republik, nad któremi kiedykolwiek świeciło słońce.

Istnieją zawsze politycy skłonni z jednej strony do obiecywania wszystkiego ludowi, z drugiej zaś do spełniania wszystkiego dla stronnictwa, czy grupy, zachwyceni i śmiejący się z całego serca z powodzenia swych wysiłków w celu ogłupiania pierwszego i służenia drugiemu. Otóż nietylko politycy

tacy powinni być uważani za niktzemników, ale potępienie to powinien dzielić z nimi lud omawiany. Człowiek, który przyjmuje, czy wymaga niemożliwych obietnic, nie jest mniej winny, niż polityk, który świadomie robi takie obietnice, a potem nie dotrzymuje słowa. I tak, kiedy mąż publiczny mówi „że nigdy, pod żadnym warunkiem nie będzie wchodził w kompromisy”, może być pewnym okłasków kilku ludzi wrażliwych, którzy nie myślą normalnie, a jedyną rzecz, którą natychmiast można powiedzieć o nim, jako prawdziwą, brzmi, że jeżeli jest osobą choć trochę poważną, to kłamie świadomie, podczas gdy tylko mniej pewnym jest przekonanie, że stanie się winnym niskiego i bezczeszczonego kompromisu, jak tylko mu się trafi sposobność do tego. Wyraz „kompromis” jest tak często używany w złem znaczeniu, że trudno jest spamiętać, iż właściwie oznacza on tylko sposób porozumienia. Naturalnie istnieją przedmioty, co do których żaden człowiek nie może robić kompromisów, np. w żadnych warunkach nie może być kompromisu w zepsuciu urzędowym i oczywiście nikt nie zawahałby się powiedzieć tego samego. Prócz tego uczciwy polityk jest zupełnie usprawiedliwiony, jeżeli na zgromadzeniu wyborczym obiecuje, że nie będzie robił żadnych kompromisów w sprawie dobra i zła. Obietnicy tej może i powinien dotrzymać. Ale kiedy powstaną kwestye polityczne — a większość spraw, od taryf do własności miejskich, od użyteczności publicznej do taksy podatkowej, są przedewszystkiem kwestyami politycznymi — to będzie musiał zawrzeć jakiś układ pracy ze swymi towarzyszami i jeżeli

mówi, że nie chce tego, to albo mówi świadomie to, o czem wie dobrze, że jest fałszem, albo naraża się napewno na wstyd niedotrzymania słowa. Żaden przyzwoity polityk nie potrzebuje zawierać kompromisów w inny sposób, jak czynili to Washington i Lincoln. Niema obowiązku iść prawie tak daleko, jak szli Hamilton, Jefferson i Jackson, ale trzeba ustąpić do pewnego stopnia, jeżeli chce się wogóle zrobić cośkolwiek.

Przejdźmy teraz do tych, którzy obiecują społeczeństwu niemożliwe dobra, jeżeli zostanie przyjęty pewien rodzaj prawodawstwa. Człowiek, który składa taką obietnicę, może być nie zrównoważonym entuzjastą, pełnym dobrych zamiarów, albo też może być tylko demagogiem, pełnym projektów. W jednym i w drugim wypadku ludzie, którzy słuchają go i wierzą mu, nie mogą być usprawiedliwieni, choć mogą być godni litości. Słodczy i prostota serca jest to zaleta wspaniała, ale kiedy rozszerza swój zakres tak, że staje się prostotą głowy, to rezultaty jej są daleko mniej niż wspaniałe. Bo bardzo dobrze jest łączyć gorące serce z zimną głową. Ludzie, istotnie zdolni do samorządu, nie chcą być bałamuceni zbyt wylanemi obietnicami, a z drugiej strony wymagają, aby każda właściwa obietnica była dotrzymana.

Mądre prawodawstwo i prawa administracya mogą niewątpliwie zrobić społeczeństwu wiele dobrego, a nadewszystko mogą dać każdej jednostce możność spełniania najlepszej pracy dla siebie samej. Ale ostatecznie własne zdolności jednostki winny tworzyć główny czynnik jej własnego zbawienia.

W najgłębszej analizie, energia, panowanie nad sobą, inteligencja i wygrana w życiu mają największe znaczenie przy rozstrzygnięciu o upadku, czy podniesieniu człowieka. Niezmiernie łatwo obmyśleć taki system rządu, który nihiluje te wszystkie zdolności i zapewnia upadek każdemu, czy zasługuje nań czy nie. Ale najlepszy plan rządów nie może nic więcej, prócz zabezpieczenia obywatela od niesprawiedliwości i pozwolenia mu na wnoszenie się lub padanie wedle jego własnych zasług. Oczywiście, państwo działające jako zdolność zbiorowa może zrobić cośkolwiek i w pewnych wypadkach akcja ta może być potrzebna, aby wyleczyć istniejące zło. Wielkie szkody, wyrządzane przez jednostki lub korporacje, mogą skłonić państwo lub niektóre jego podziały do włożenia sobie na barki tego, co nazywają użytecznościami publicznymi. Ale kiedy wszystko, co mogło być zrobione w tej dziedzinie, zostało już zrobione, kiedy każda jednostka została już uratowana, o ile państwo mogło ją uratować, od tyranii innego człowieka lub grupy ludzi, wtedy własne zalety fizyczne i umysłowe osobnika, jego własna siła duszy i ręki pozostaną decydującymi warunkami jego kariery. Ludzie, którzy wierzą, albo którzy domagają się obietnicy, że gdyby społeczeństwo poszło za pewnym przywódcą, lub przyjęło pewien system polityki publicznej, to powyższa wielka prawda straciłaby znaczenie, nietylko idą po drodze życia, opierając się na trzcinie złamanej, ale dążą wytrwale do własnej zguby.

To dotyczy ludzi, którzy, domagając się niemożliwości, zachęcają do obietnic niemożliwości, czy

to w dziedzinie prawodawstwa ekonomicznego, czy też w dziedzinie prawodawstwa, którego celem jest podniesienie moralności. Drugą stronę stanowi to, że żaden człowiek nie powinien być usprawiedliwiony, jeżeli nie dotrzymuje tego, co obiecuje, chyba, że miałby na to przyczyny najlepsze i wystarczające. Szczególnie powinno się to stosować do wszystkich polityków. Dowodzi to najzupełniej niezdrowego stanu umysłów, że publiczność, śmiejąc się, wybacza niedotrzymanie wyraźnego zobowiązania pod pozorem, że nie można wymagać od polityka, żeby ograniczał się prawdą, kiedy jest na zgromadzeniu wyborczym lub na mównicy. Człowiek nie powinien być uniewinniony z kłamstw na zebraniu wyborczym, ani po za niem. Oczywiście stan rzeczy może uleść zmianie do tego stopnia, że usiłowanie czynienia tego, co zamierzał zrobić w dobrej wierze, byłoby niemożliwym dla niego albo wysoce niedogodnym dla kraju. Ale ta konieczność zmiany frontu musiałaby być oczywistą, trzeba by stanowczo zdecydować, że może być tylko wyjątkiem, a nie regułą. Jako regułę i mówiąc z zastrzeżeniami, wyjątek, należałoby przyjąć aksyomat, że kiedy człowiek w życiu publicznym zobowiązuje się do trzymania pewnej wytycznej w postępowaniu, to powinien zrobić to, o czym mówił, że chce zrobić i żeby postępowanie jego nie było uważane za honorowe, jeżeli postąpił inaczej.

Wszystkie wielkie prawdy zasadnicze wydają się oklepane, a jednak jakkolwiek są oklepane, winny być powtarzane jeszcze i zawsze. Bałamutny i egoistyczny łajdak który obiecuje niemożliwości

pozłacane, i łatwowierny głupiec, który daje się wziąć na takie obietnice i który, chwytając się niemożliwego, traci sposobność zapewnienia sobie istotnego acz mniejszego dobra, typy te są tak stare, jak organizacya polityczna ludzkości. Z krańca w kraniec historii świata narody; które pracowały w samorządzie, były te, które od swoich mężów publicznych domagały się tylko obietnic tego, co mogło być istotnie zrobione dla sprawiedliwości i uczciwości, i które surowo nalegały na konieczność dotrzymania takich obietnic, co do litery i co do ducha.

Tak się rzecz ma i co do ogólnej kwestyi posiadania dobrego rządu. Nie możemy zaufać czystemu reformatorowi gabinetowemu, ani też jego cierpkiemu bratu, który sam nic nie robi, ale wyszydza tych, którzy znoszą żar i ciężar znojnego dnia. Jeszcze mniej możemy zaufać tym niskim istotom, traktującym politykę, jak grę, z której można wyciągnąć na życie kawał zbrukanego chleba; w ich słowniku wyraz „praktyczny” stał się synonimem wszystkiego, co jest nikczemne i zepsute. Człowiek jest bez wartości, jeżeli nie posiada w sobie wysokiego kultu ideału i jest jeszcze bez wartości, jeżeli nie usiłuje urzeczywistnić tego ideału przy pomocy metod praktycznych. Trzeba, aby obiecywał i sobie i innym zarazem tylko to, czego może dokonać, ale to, co może istotnie być spełnionem, to obiecywać powinien i trzeba, aby obietnicy takiej dotrzymywał we wszelkich okolicznościach.

Zagadnienia, wobec których stoimy w bieżącym stuleciu w swej zasadniczej treści są ostatecz-

nie te same, które miały zawsze do rozwiązania ludy wolne, usiłujące zapewnić sobie i zachować rząd wolny. Żaden filozof polityczny współczesny nie może postawić kwestyi wyraźniej, niż stawiali ją niepospolici starożytni Grecy. Arystoteles mówi: „Trzeba mieć na widoku dwie zasady: możliwości i właściwości. Każdy człowiek powinien dążyć do tego”. Platon wyraża tę samą myśl: „Ci, którzy nie mają szkoły i praktyki w dziedzinie prawdy (którzy nie są uczciwi i prawi), nie mogą nigdy dobrze sprawować rządów, niemniej jak i ci, którzy życie swoje spędzają jako filozofowie gabinetowi; bo pierwsi nie mają wysokich zamiarów do kierowania ich czynami, podczas gdy drudzy trzymają się zdaleka od życia publicznego, mając przekonanie, że za życia zostali przeniesieni na wyspy Szczęśliwości... Ludzie powinni równocześnie kontemplować dobro i usiłować istotnie pełnić je. Tym sposobem państwo powstanie, jako rzeczywistość, a nie jako sen, podobne do większości zamieszkałych przez osoby, walczące z cieniami...”¹⁾

X.

CHŁOPIEC AMERYKAŃSKI.

(Artykuł w *St. Nicolas*, maj, 1900).

Oczywiście, to, czego możemy oczekiwać od chłopca amerykańskiego, polega na tem, aby stał

1) Cytaty wolno tłumaczone i skracane (Przyp. autora).

się prawdziwym człowiekiem amerykańskim. Prócz tego istnieją poważne szanse, że nie stanie się dobrym kawałem człowieka, jeżeli nie będzie dobrym kawałkiem chłopca. Nie trzeba, aby był tchórzem lub słabym, ani fanfaronem lub brutalem; nie trzeba, aby był próżnym. Trzeba, aby umiał mocno pracować i dobrze się bawić. Trzeba, żeby umysł miał jasny a życie czyste, trzeba, aby był zdolny zająć swoje miejsce we wszelkich okolicznościach i przeciwko wszystkim przychodniom. Tylko w takich warunkach zmieni się na ten rodzaj człowieka amerykańskiego, z którego Ameryka może być istotnie dumna.

Istnieją zawsze w życiu niezliczone tendencje dobre i złe, i każde pokolenie widzi kolejno, jak pewne z tych tendencji wzmacniają się, a inne słabną, i nie zawsze niestety zdarza się, że tendencje złe są osłabiane, a dobre wzmacniane. Ale podczas ostatnich kilku dziesięcioleci w życiu chłopców nastąpiły niewątpliwie znaczne zmiany. Wielkie zwiększenie zamięłowania do sportów atletycznych np., pełne niebezpieczeństwa, jeżeli stanie się przesadnym i niezdrowym, miało jako bezwarunkowe a doskonale następstwo wzmocnienie męskości.

Czterdzieści, czy pięćdziesiąt lat temu ktokolwiek pisał o moralności amerykańskiej nie mógł nie ubolewać nad zniewieściami i rozpustnemi obyczajami młodych Amerykanów, urodzonych z bogatych rodziców. W owych czasach chłopiec zamożny, szczególnie w wielkich miastach wschodu, żył zbyt rozpustnie, oddawał się bilardowi, jako głównej ze swych niewinnych rozrywek, i uczuwał tylko sła-

by wstyd z powodu swej niezdolności do surowych zabaw i sportów na świeżem powietrzu. Za dni naszych, jakiegokolwiek inne wady może rozwijać w sobie syn rodziców bogatych, przecież jest zmuszony przez opinię wszystkich kolegów swoich w równym wieku do dobrego zachowania się w ćwiczeniach męzkich i do rozwijania swego ciała (a zatem do pewnego stopnia i charakteru) w surowych sportach, wymagających odwagi, wytrzymałości i zręczności fizycznej.

Oczywiście chłopcy, którzy są postawieni w tak szczęśliwych warunkach, że mogą zrobić kawał pracy na dworze, lub bawić się w tak zwane gry naturalne na świeżem powietrzu, nie potrzebują tego rozwoju atletycznego.

W wojnie domowej, żołnierze, którzy przybywali z preryi, z gruntów karczowanych, z tych ciężkich gospodarstw, gdzie tu i owdzie stare pnie pozostały na łanach, którzy od dziecka jeździli konno, strzelali od chwili, kiedy zdołali utrzymać karabin, którzy byli przyzwyczajeni do obozowania na dworze przy każdej sposobności, byli lepiej przygotowani do zajęć żołnierskich, niż jakakolwiek grupa czystych atletów szkolnych lub amerykańskich. Po za tem nie powinno się ani przeceniać, ani niedoceniać znaczenia sportów atletycznych. Grecy byli niepospolitymi atletami i póki ich zaprawa atletyczna zachowywała w ich życiu miejsce należyte, było bardzo dobrze. Ale zmieniło się to na złe, kiedy zachowali swoje gry atletyczne, pozbywając się równocześnie surowych zalet mężów wojennych i mężów stanu.

Niektórzy z młodszych czytelników tej książki przeczytają zapewne kiedyś słynne listy Pliniusza Młodszego, Rzymianina, który pisywał w pierwszym wieku naszej ery z cechami, powiedziałbym, dziwnie współczesnymi. Jego korespondencja z cesarzem Trajanem jest szczególnie interesująca, a szczególnie nie najmniej ważnym do zanotowania jest pogarda, z jaką mówi o sportach atletycznych greckich, nazywając je rozrywkami ludu niewojowniczego, które warto popierać, ażeby przeszkodzić Grekom w zostaniu strasznymi. Była także epoka, w której królowie perscy musieli zakazać gry w polo, ponieważ żołnierze zaniedbywali swoje właściwe obowiązki pod urokiem gry. Nie możemy spodziewać się najlepszych czynów od żołnierzy, którzy podnieśli do niezdrowej przesady znaczenie sportów i zabaw, które byłyby zdrowe, gdyby praktykowano je z umiarkowaniem, a którzy nie nauczyli się ćwiczeń zawodowych, jak byli powinni.

Żołnierz powinien umieć strzelać, bronić się i dawać sobie radę, a nie boksować i grać w football. Isnieje, naturalnie, zawsze niebezpieczeństwo nieporozumienia, jeżeli bierze się środki za cele.

Polowanie na lisy jest sportem pierwszej klasy, ale jedną z najgłupszych rzeczy w życiu realnem jest sposób w jaki niektórzy doskonali myśliwi na lisy, po za tem zupełnie zdrowi na umyśle, mówią o tej zabawie, doskonalej, ale nie nadzwyczaj ważnej. Usiłują oni prawie zrobić z tego sportu fetysza, jak w 18-tem stuleciu szlachta niemiecka i francuska robiła fetysza z polowania na jelenie, kiedy doprowadzano polowanie i ochronę zwierzyny do ta-

kiego stopnia, że były rujnujące dla życia narodowego. Polowanie na lisy jest rzeczą doskonałą, jako zabawa, ale jest to pewnie najostatniejsze zajęcie, które mogłoby pociągać człowieka inteligentnego. Pewni autorowie, piszący o tym przedmiocie, pasyami lubią cytować anegdotę o myśliwym na lisy, którego w czasie wojny domowej angielskiej znaleziono oddającego się swemu ulubionemu sportowi właśnie przed wielką bitwą kawalerów z purytanami i właśnie między ich szeregami, które zbliżały się naprzeciw siebie. Pisarze ci uważają widocznie temu człowiekowi za zasługę, że w chwili, kiedy ojczyzna jego była zajęta walką na śmierć i życie, zamiast chwycić za broń i rzucić się do obrony sprawy, którą uważał za słuszną, oddawał się dobrodusznemu swemu zwykłemu polowaniu.

Wistocie, główna poważna, użyteczność polowania na lisy polega na rozwijaniu mężkości, siły, śmiałości i odwagi, aby myśliwi w potrzebie okazali się zdolni do pracy, albo do walki o ziemię ojczyzną. Kiedy człowiek do tego stopnia miesza cele i środki, że myśli, iż polowanie na lisy, albo polo, albo foot-ball, albo jakikolwiek inny sport może być uważany sam w sobie za cel, zamiast aby był brany jako prosty środek przygotowania do spełnienia dzieła, które jest coś warte, kiedy przyjdzie czas, lub trafi się sposobność — no, to człowiek ten zrobiłby lepiej, gdyby porzucił sport zupełnie.

Żaden chłopiec nie może sobie pozwolić na zaniedbywanie swojej pracy, a dla chłopca praca oznacza najczęściej naukę. Oczywiście zdarzają się wypadki nadzwyczajne, kiedy otwiera się okres świe-

tnego powodzenia w życiu ludzi, którzy nie mieli żadnej wartości jako chłopcy, uczniowie, czy studenci. Ale branie za przykład tego rodzaju wyjątków byłoby równie niepewnem, jak obrona ślepoty, dlatego, że kilku niewidomych zyskało sobie nieśmiertelną sławę, przewyciężając swoje kalectwo fizyczne i osiągając wielkie rezultaty w historii świata.

Nie jestem zupełnie obrońcą przesadnego i bezsensownego przeciążania naukami, ale chłopiec pracować musi, pracować musi mocno nad swojemi lekcjami po pierwsze przez miłość tego, czego się uczy, a po drugie przez zamięłowanie następstw, które wywołuje w jego charakterze sam akt woli zabrania się stanowczo do nauki. Miętkość, nieumiejętność dawania sobie rady, obojętność w naukach oznaczają prawie napewno nieumiejętność wytknięcia sobie drogi w innych dziedzinach życia. Naturalnie, w miarę tego, jak chłopiec posuwa się w latach, dobrze jest, jeżeli może zorganizować naukę w tym kierunku, w jakim idą jego upodobania naturalne, ale czy może to zrobić, czy nie, uczyć się powinien z całego serca. Nie wierzę w figle w czasie nauki, ani w ten rodzaj usposobień zwierzęcych, które zwykle dają uczniów lichych, i sędzę, że ci chłopcy, którzy uczestniczą w ciężkich męczących grach po za godzinami nauki, nie będą uczuwać potrzeby brutalnych zabaw w szkole. Kiedy uczą się, powinni się uczyć z tym samym zapałem, z jakim grają na konkursie w piłkę nożną. Dobrze jest być posłusznym staremu i znanemu poleceniu: „Kiedy pracujesz—pracuj; kiedy się bawisz, baw się!”

Każdy chłopiec potrzebuje zarówno odwagi fizycznej, jak i moralnej. Jedna nie może zastąpić drugiej. Kiedy chłopcy staną się ludźmi, odkrywają, że bywają ludzie bardzo mężni na polach bitew, którzy okazali się nieśmiały i bez wartości jako politycy; bywają również politycy, gotowi w każdej chwili do narażania się i brania na siebie odpowiedzialności w życiu społecznym, którym jednak brak było cech waleczności, kiedy byli wystawieni na niebezpieczeństwo fizyczne. W każdym takim wypadku u żołnierzy i u polityków mamy tylko połowę zalet. Odwaga u żołnierza nie usprawiedliwia braku odwagi u męża stanu, a tem mniej odwaga męża stanu uniewinnia cofanie się na polu bitwy. Wszystko to w zupełności da się zastosować i do chłopców. Tchórz, który dostaje uderzenie i nie oddaje go, jest stworzeniem, godnem pogardy; ale ostatecznie jest zaledwie równie nikczemny, jak chłopiec, który nie śmie bronić tego, co uważa za sprawiedliwe, przed szyderstwami kolegów, o których wie, że są w błędzie. Ośmieszanie jest jedną z najulubieńszych broni złego; i czasami niepodobna zupełnie zrozumieć, jakim sposobem dobrzy i mężni chłopcy pozwalają wywierać na siebie wpływ kolegom, którzy wyśmiewają ich, a sami nie mają ani jednej zalety, nakazującej szacunek, usiłują tylko zawsze wydrwiwać nawet te cechy, które powinnyby być przedmiotami słusznej dumy.

Nie trzeba być próżnym i zarozumiałym. Nie ma potrzeby, żeby chłopiec sam głosił o swoim dobrem sprawowaniu i o swoich cnotach. Jeżeli to robi, to sam się ośmieszy i stanie się później obra-

żliwym. Ale koniecznie potrzeba, aby był przyzwoity, aby był czysty i prawy, uczciwy i prawdomówny, łagodny i czuły, równie dobrze jak mężczyzna. Jeżeli dojdzie kiedykolwiek do istotnego zrozumienia rzeczy, będzie miał daleko większą pogardę dla chłopca, który rozpoczął życie płoche i rozrzutne; albo dla kłamcy, nikczemnika, nieuczciwego i okrutnego, niż chłopiec ten i jego koledzy będą uczuwać dla niego. Sam fakt, że chłopiec powinien być mężczyzną i umieć utrzymać swoje stanowisko, że powinien wstydzić się brawowania, za które nie czeka go natychmiastowa kara, winien odwrotnie wpłynąć na to, ażeby sam znienawidził wszelkie rodzaje brawowania, brutalności, czy okrucieństwa.

Ciekawy kontrast zachodzi między dwoma powieściami Kiplinga. Jedna p. t. „Odważni kapitanowie” opisuje w najżywszy sposób właśnie to, czem chłopiec być i co robić powinien. Bohater jest opisany na wstępie jako pieścuch rodziców bogatych i zbyt wyrozumiałych, typ, który, niestety, spotykamy niekiedy i który jest jedną z najobrzydliwszych rzeczy, jakie wogóle istnieją na kuli ziemskiej. Chłopiec ten jest później pozostawiony samemu sobie i znajduje się w otoczeniu zdrowym, zmuszony jest pracować ciężko wśród chłopców i mężczyzn, którzy są prawdziwymi chłopcami i mężczyznami, którzy robią prawdziwą robotę. Efekt jest niezwykły. Z drugiej strony, jeżeli kto chce znaleźć typy chłopców, których należy unikać z niesłychanym wstrętem, niech weźmie inną powieść Kiplinga p. t. „Stalky & Cie”, historia, która nie powinna była nigdy być

napisana, bo niema zapewne żadnej formy poziomości, którejby nie podnosiła, ani też złej administracyi szkolnej—którejby nie oklaskiwała. Z fanfaronów nigdy nie wyrastają ludzie mężni, a chłopcy czy ludzie złego życia nie mogą się stać dobrymi obywatelami, dobrymi Amerykanami, chyba, że się zmieniają, a i wtedy nawet, po zmianie, na duszach ich pozostaną blizny.

Najlepszym środkiem dla chłopca aby się stał dobrym człowiekiem jest ten, żeby był dobrym chłopcem — nie rozlazłym, ale właśnie ściśle dobrym chłopcem. Nie rozumiem przez to, aby miał ukochać tylko cnoty negatywne, rozumiem, że powinien kochać także cnoty czynu. Wyrażenie „dobry” w najszerszem znaczeniu powinno obejmować wszystko, co jest pięknem, czystem, prostem, odważnem i mężkiem. Najlepsi chłopcy, których znam — najlepsi ludzie, których znam, są zdolni w swoich naukach i w swoich interesach, nieustraszeni i mocni, nienawidzeni i będący postrachem wszystkiego tego, co jest złem i znieprawionem, niezdolni do poddania się złym czynom i równie niezdolni być innymi, niż czuły, dla słabych i bezbronnych. Chłopiec duchowo zdrowy winien odczuwać serdeczną pogardę dla tchórza, ale jeszcze większe, głębokie oburzenie dla chłopca, który zaczepia dziewczynki i małych chłopców i torturuje zwierzęta. Jednym z głównych dowodów gardzenia tchórzami powinien być w każdym dobrym chłopcu popęd do bicia takiego okrutnika, jeżeli zajdzie potrzeba.

Oczywiście wpływ, który chłopiec zupełnie mężki, absolutnie prawy i uczciwy może mieć na

kolegów w równym wieku i na młodszych, jest nieobliczalny. Jeżeli nie jest zupełnie męzny, wtedy nie będą go szanowali, a naturalnie o ile jest nikczemny, okrutny, czy zły, o tyle jego siły fizyczne i umysłowe zrobią z niego tem szkodliwszego członka społeczeństwa. Nie będzie mógł dobrze pracować, jeżeli nie jest mocny i jeżeli nie stara się z całego serca i z całej duszy, aby się z nim rachowano w każdym zatargu, a jego siła będzie przekleństwem dla niego samego i dla każdego innego, jeżeli nie będzie zupełnie panował nad sobą i nad swemi złemi namiętnościami i jeżeli siły swojej nie będzie używał po stronie przyzwoitości, sprawiedliwości i uczciwości.

Krótko mówiąc, w życiu jak i w grze w football obowiązuje zasada następująca:

„*Hit the line hard; don't foul, don't shirk but hit the line hard!*”¹⁾

XI.

G R A N T.

Mowa w Gallens (Illinois) 27 września 19 r.).

Z biegiem czasu każdy naród wielki instynktownie poznaje ludzi, którzy są szczególnymi i wybitnymi przedstawicielami jego własnego typu wielkości. Tutaj, w kraju naszym mieliśmy wielu mężów publicznych wysokiej miary, żołnierzy, mówców,

¹⁾ Trzymaj się ostro wytkniętej drogi; nie zbaczaj, nie wahaj się, tylko trzymaj się ostro wytkniętej drogi.

mężów stanu twórczych i przywódców ludowych: Mieliśmy nawet wielkich filozofów, którzy byli przywódcami myśli narodowej. Każdy z tych ludzi miał swoją grupę zupełnie oddanych stronników, a niektórzy z nich rządili narodem z taką władzą, jaka nie była udziałem najwybitniejszych.

A przecież w miarę tego, jak zanikają pokolenia, jak opada kurz zatargów i jak spoglądamy na siebie poprzez rozjaśnione obłoki, jak z bystrą mądrością przenikamy w przeszłość narodu — między najpotężniejszymi z potężnych rysują się wypukłe trzy wielkie postacie: Washingtona, Lincolna i Granta. Mamy także wielkich ludzi drugiego rzędu; bo w każdej galeryi sławy czysto narodowej Franklin i Hamilton, Jefferson i Jackson mają zapewnione swoje miejsca.

Ale ci trzej najwięksi zajęli swoje miejsce między wielkimi ludźmi wszystkich narodów, między wielkimi ludźmi wszystkich czasów. Wyniesieni zostali potężnie podczas dwóch wielkich przesileń naszej historyi, przy dwóch sposobnościach, w których zadaliśmy największe ciosy, jakie kiedykolwiek zostały zadane, walcząc za sprawę wolności ludzkiej pod prawem, walcząc o tego ducha uporządkowanej swobody, który wnosi podstawę wszelkiego rozsądnego ruchu, mającego na celu zapewnienie każdemu jego praw i zabezpieczenie każdego, tak, aby bliźni jego szkodzić mu nie mogli.

Washington walczył w pierwszej z tych walk i miał szczęście i zaszczyt zyskania sobie najwyższego rozgłosu, jako żołnierz i jako mąż stanu.

W drugiej, a nawet większej walce, czyny Lincolna, męża stanu, zostały poparte czynami Granta, wojownika, a później Grant sam poprowadził dzieło, które wysunęło się ze zmęczonych rąk Lincolna, kiedy uderzyła go kula mordercy i kiedy smutne, cierpliwe, dobre jego oczy zawarły się na zawsze.

Nie był to prosty przypadek, że z trzech najpotężniejszych naszych mężów było dwóch żołnierzy i jeden prezydent czasu wojny. Tylko przez pracę i walkę naród lub jednostka wznosi się do poziomu wielkości. Wielki człowiek bywa zawsze mężem potężnego wysiłku i wogóle człowiekiem, którego do tego wysiłku pchała niezwykła potrzeba wewnętrzna.

Wypoczynek i pokój są bardzo dobrymi rzeczami, są wielkimi błogosławieństwami, ale tylko wtedy, jeżeli przychodzą drogą ucziwą, a zazwyczaj ci, którzy odwracają się od nich nieustraszenie, jeżeli nie zostały zapracowane, najlepiej zasługują się krajowi. Spożywamy chleb tylko w pocie czoła naszego, i chociaż pot bywa czasem gorzki, daleko bardziej gorzkim jest chleb, spożywany jako nie zapracowany, nie zdobyty, nie zasłużony. Ameryka musi nieustannie szczepić sobie poczucie pracy i niebezpieczeństwa. Ludzie, którzy stworzyli naszą wielkość narodową, to są ci, którzy śmiało spoglądali w oczy niebezpieczeństwu i zmogli je, którzy natrafiali na przeszkody i przewyciężyli je, a nie ci, których drogi życia szły po miłych równinach, od których znój i obawa były zawsze daleko.

Nie był to również przypadek, że nasi trzej wodzowie byli ludźmi, którzy, choć nigdy nie cofali

się przed wojną, przecież w głębi duszy byli ludźmi dokoju. Człowiek, który nie chce walczyć, aby odsunąć, czy zniszczyć zło, jest biedną istotą; ale ostatecznie jest mniej niebezpieczny, niż człowiek, który walczy po stronie zła. W historii narodu kilkakrotnie może, a czasami istotnie musi przyjść czas taki, że najwyższym obowiązkiem narodu jest wojna.

Ale pokój musi być stanem normalnym, bo inaczej naród jest na drodze do krwawej ruiny. Dwa razy w czasie wielkich przesilen, w r. 1776 i 1861 i dwa razy w czasie mniejszych—w r. 1812 i 1898 powołano naród do broni w imię wszystkiego tego, co ze słów „honor”, „wolność” i „sprawiedliwość” czyni więcej, niż puste dźwięki. I w każdym z tych wypadków czysty rezultat wojny wypadł wyraźnie na korzyść ludzkości. Ale w każdym z tych wypadków rezultat był korzystny tylko dlatego, że po wojnie nastąpił pokój, że zapanowała sprawiedliwość i swoboda. Gdyby po rewolucji nastąpiła krwawa anarchia, gdyby ogłoszenie niepodległości nie było poparte przyjęciem konstytucji, gdyby wolność, zdobyta mieczem Washingtona, nie była wzmocniona stałym i porządnym rządem w którego stworzeniu współdziałał, wówczas byłibyśmy tylko zwiększyli chaos świata, a nasze zwycięstwa przemawiałyby przeciwko, a nie za interesem ludzkości. To samo stosuje się również do wojny domowej. Gdyby po czterech latach żelaza nie nastąpił pokój, to wojny nie można byłoby usprawiedliwić.

Gdyby wielki wojownik milczący, Młot Północy,, rozkuł kajdany niewolników tylko po to, aby

nałożyć je na ręce ludzi wolnych, jak to robiło przed nim tylu zwycięzców w sporach domowych, to cała wojna byłaby była wydana napróżno i gorzej niż napróżno. Gdyby Unia, dla odbudowania której tylu ludzi wylało krew swoją, nie była dziś unią faktyczną, to drogocenna krew byłaby wylana nadaremnie. Ale krew ta nie poszła na marne, bo dzieło pokoju usprawiedliwiło dzieło wojny, i dziś Północ i Południe, Wschód i Zachód, wszyscy my jesteśmy jednym narodem, nietylko z imienia, ale i faktycznie. Stanowimy jedność w zamiarach, w koleżeństwie i w wysokich aspiracjach i tak stajemy, aby powitać nowe stulecie i z podniosłym sercem patrzeć śmiało w potężne zagadnienia, które napewno niosą nam z sobą przyszłe dziesięciolecia.

Grant i jego towarzysze-żołnierze, którzy walczyli podczas wojny, i jego towarzysze-mężowie stanu, którzy uzupełnili dzieło, dokonane po części przez żołnierzy, nie pozostawili nam tylko dziedzictwa kraju połączonego i ziemi, z której na wieki wygnano niewolnictwo, ale pozostawili nam spadek równie ważny, wielkie wspomnienie o ich wielkich czynach, aby nam zawsze służyło za przykład i nauczanie, aby nas podniecało, abyśmy nigdy nie upadli poniżej poziomu, osiągniętego przez ojców naszych. Mocny i surowy poeta demokracji śpiewał o Grancie, jako o „człowieku dni potężnych i równym tym dniom”. Dni są dziś mniej potężne, tem więcej przyczyn, abyśmy się okazali na ich wysokości.

Zgromadzamy się tu, aby złożyć radosny hołd

pamięci naszych sławnych zmarłych; ale zachowajmy zawsze w umysłach naszych bardzo jasne poczucie tego, że zwyczajne uznanie ust zupełnie nie jest uznaniem, lecz jedynym hołdem, który się rachuje, jest hołd czynów, a nie słów. Sławienie pamięci zmarłych jest tylko czczą stratą czasu, jeżeli my, żywi, w życiu naszym nie usiłujemy stać się godnymi ich wielkości. Jeżeli życiorysy Washingtona i Granta nie są dla nas żywotnymi i pełnymi znaczenia, jeżeli są tylko częścią historycznej przeszłości i nie podniecają nas do chciwego współzawodnictwa w nieustannej i nieskończonej walce dobra przeciwko złemu, to nie mamy w sobie pierwiastku dobrych myśli, a tam, gdzie niema zdrowej myśli, nie może nastąpić czyn zdrowy i dobry.

W mowie niniejszej nie mam zamiaru naszkicować życia i czynów Granta, nawet w sposób najogólniejszy. Nie mam nawet zamiaru dotykać tych punktów, w których wpływ jego przemawiał tak silnie w tworzeniu historyi naszej. Częścią wielkości człowieka jest to, że życie jego może nam dziś służyć poprostu, jako ilustracya. Możemy uważać za stwierdzone, że każdy Amerykanin, który zna historyę swego kraju, musi znać koniecznie historyę tego człowieka przynajmniej w jej najogólniejszych zarysach, i że nie potrzebujemy wyjaśniać Vicksburga i Appomatoxa, jak nie potrzebujemy opowiadać o Yorktownie. Będę prosił o uwagę nie dla opisu życia Granta, ale dla nauk, które niesie nam z sobą to życie, nauk, które powinniśmy brać do serca my, ludzie dzisiejsi.

Przedewszystkiem nauka wytrwałości, upoczy-

wej stałości w zamiarach. W armiach Unii byli generałowie, równie świetni, jak Grant, ale nie było żadnego z jego żelazną stanowczością. Zalety te wykazał jako prezydent, nie mniej niż jako generał. Nie był to człowiek, który pozwoliłby wywierać na siebie wpływ wrogiej większości kongresu, ani sprowadzić się i porzucić stanowisko na korzyść zdrowego i stałego prądu; nie dawał też wpłynąć na siebie porażkom i zmiennym kolejom; nie zwołał nacisku na obłążony Richmond. Szczególnie chętnie odwołujemy się do tego czynnika niewzruszonej siły, kiedy chwalimy człowieka w sposób najprostszy i najwyraźniejszy, chwając go za to, że był mężem. Jest to zaleta, na której stratę najmniej sobie pozwolić możemy.

Jest to jedyna zaleta, której utrata nie może być przebaczona ani narodowi, ani jednostce. Jest ona przeciwieństwem lekkomyślności, niestałości, płochości, przesadnej egzaltacji, niepotrzebnego zwątpienia, histeryi i neurasteni w miryadzie ich przejawów. Nauka nieubłaganej, niezwyciężonej, nieprzerwanej wytrwałości na drodze, na którą wszedł naród, jest jedną z najniezbędniejszych dla pokolenia, którego rzecznicy zbyt wiele czasu poświęcają polityce chwili. Nie są nieliczni mężowie publiczni, którzy próbują urabiać opinię wewnątrz i na zewnątrz kongresu, w podróży wyborczych, i w prasie codziennej, którzy zdają się dążyć do niestałości, którzy schlebiają, a przez to wzmagają pragnienie przesady w każdej sytuacji, w miarę, jak się wznosi, których usiłowania idą więcej w kierunku poruszania ludu zygzagowato, niż

w linii prostej. Widzieliśmy to wszyscy w wojnie z Hiszpanią, kiedy ci sami ludzie, którzy w pewnej chwili piętnowali mianem zdrajcy każdego, kto mówił, że są rzeczy złe w wojsku, w innej—nazywali zdrajcami tych, którzy robili z wojska przedmiot pochwały. Oczywiście stanowisko takie jest równie niezdrowe z jednej, jak i z drugiej strony i sprzeciwia się w równej mierze wszelkim usiłowaniom wykorzenia nadużyć.

Jak zawsze, tak i wówczas, było szerokie pole do krytyki, były wszelkie podstawy do naprawiania błędów. Ale ostatecznie dziś winni jesteśmy wdzięczności przede wszystkim nie krytykom, nie poszukiwaczom błędów, ale ludziom, którzy istotnie wykonywali jakąś pracę, nie przedstawicielom polityki negatywnej, ale tym, którzy walczyli o cel określony. Miłosierne zapomnienie pokryło nazwiska tych, którzy obrzucali błotem ludzi, zajętych właśnie ratowaniem Unii, podczas gdy zachowaliśmy pamięć tych ostatnich, jako spuściznę czci — na zawsze; a najświetniej pomiędzy nimi błyszczą nazwiska Lincolna i Granta, stanowczych, wytrwałych, ufnych i w końcu zwyciężczych.

Najwyższą cnotą Granta, jako wojownika, był jego upór dogą, zaleta, która znalazła swój wyraz w słynnych zdaniach „o poddaniu się bez warunków” i o tem: „że trzeba się bić na tej linii, aby załatwić zatarg, choćby to miało trwać całe lata”. Był to mistrz strategii i taktyki, ale był to także mistrz twardego uderzenia, owego „bezustannego kucia młotem”, które ostatecznie złamało i starło nawet gwardyę Lee’a. Póki jeden nieprzyjaciel

uzbrojony był w polu, nie przychodziło nigdy na myśl Grantowi, że może być coś ważniejszego nad zgnębienie go. Uczuwał tylko niecierpliwą pogardę dla dusz słabych, które chciały rozpocząć układy z wrogiem, póki wróg ten był jeszcze zdolny do oporu.

Mamy tu piękną naukę dla ludzi, którzy ośmielali się żądać od nas inicjatywy zupełnego zniszczenia władzy naszej na Filipinach i co za tem idzie, pewnego rostroju samych wysp za pomocą ustępstw z naszej strony—przed spełnieniem obowiązku zaprowadzenia spokoju na tych wyspach za wszelką cenę i rozproszenia ostatnich resztek oporów zbrojnego. W czasie wojny domowej jedynym środkiem zapewnienia pokoju była walka o ten pokój; byłoby to zbrodnią wobec ludzkości zaprzestać walki, zanim pokój został zdobyty. Tak samo w mniej ważnem, ale jednak jeszcze bardzo ważnem przesileniu, przez które przechodzimy obecnie, byłoby to zbrodnią wobec ludzkości, gdybyśmy — czy to przez słabość, czy przez sentymentalizm źle zrozumiany — przestali pamiętać, że najważniejszym obowiązkiem na Filipinach jest przywrócenie pokoju; bo pokój i stopniowo zwiększający się udział w samorządzie, który nastąpi po zaprowadzeniu pokoju, mogą być tylko rezultatem zupełnego zaniku oporu zbrojnego.

Grant nie był zupełnie kłótniwy; nie był miłośnikiem walki dla walki. Był to człowiek prosty, spokojny, nie szukający chwały; ale zarazem człowiek, który raz puszczony w ruch, zachowywał śmiertelną powagę i nigdy nie usuwał się od speł-

nienia obowiązku. Trudno mu było zdobyć się na uderzenie, ale nie uderzał nigdy lekko. Zupełnie nie należał do tych charakterów, które porywają zgromadzenia, wygłaszają mowy ogniste albo przeprowadzają ogniste uchwały, a potem pozwalają, aby czyny niesłychanie słabe następowały po słowach niezmiernie gwałtownych. Obietnice jego pokrywały się zawsze wykonaniem. Jego czyny stwierdzały tylko jego słowa. Nie piętnował zła w przemowach przesadnych i hiperbolicznych, ale kiedy je piętnował, starał się, aby o skuteczności jego słów zaświadczyły czyny. Lekkomyślnie nie pogrążył się w wojnę, ale kiedy raz wziął się do niej, prowadził ją aż do końca, a kiedy była skończona, to już zupełnie i na zawsze. Bezlitośny w bitwie, był miłosiernym po zwycięstwie. Nie było przerwy w jego srogich napaściach, w jego srogich pościgach, aż póki nie poddał się ostatni zbrojny oddział nieprzyjacielski. Ale po dokonaniu tego wielkiego czynu, pierwsza myśl jego była dla walecznych zwyciężonych, aby pozwolić im zabrać konie do ich małych mieszkań, bo będą ich potrzebowali do pracy na roli. Grant, wojownik, którego miecz był najostrzejszy w wielkiej walce o wolność, był niemniej surowy i nieubłagany w kwestyach porządku publicznego i posłuszeństwa prawom. Nie było nigdy w naszych granicach bardziej nieprzejednanego wroga anarchii we wszystkich jej formach. Człowiek, który bardziej niż ktokolwiek, z wyjątkiem Lincolna, przekształcił nas na naród, którego wszyscy obywatele są ludźmi wolnymi, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że ci ludzie wolni pozostaną

staną wolnymi tylko wtedy, jeżeli będą umieli zapanować nad swemi złemi namiętnościami. Wiedział, że bezprawie we wszystkich jego formach jest sługą tyranii. Nigdy dotąd żaden naród nie zachował wolności przez czas dłuższy po zatraceniu poszanowania prawa, po zaniku ducha popierania praw, ducha, który jest podstawą uporządkowanej swobody.

Krótko mówiąc, Grant był przedstawicielem wielkich cnót zasadniczych, sprawiedliwości, wolności, porządku, nieprzepartej stanowczości, energii męskiej w jej znaczeniu najszerszem i najwyższem. Wielkość jego nie tyle płynęła z wielkości umysłu, ile z wielkości charakteru, pojmując pod słowem „charakter” splot wszystkich mocnych cnót męskich. Tylko charakter liczy się w narodzie, jak i w jednostce. Dobrze jest, jeżeli naród ma bystre i przenikliwe umysły, bo te dają mu mówców, artystów, zdolnych kupców i przemysłowców; ale nie-skończenie lepiej jest posiadać te mocne zalety, które grupujemy razem pod mianem charakteru — wstrzeźliwość, stanowczość, poczucie obowiązków wobec bliźnich i wobec Boga, twardy, zdrowy rozsądek i połączony z tem wszysłkiem zapał i entuzjazm szlachetny dla wszystkiego, co jest sprawiedliwe. Są to te zalety, które pomagają do stworzenia prawdziwej wielkości narodu, a były to te, które Grant posiadał w wysokim stopniu.

Zebraliśmy się więc tutaj, aby zdać sobie sprawę z tego, co potężni zmarli zrobili dla nas, którzy żyjemy obecnie. Wzamian za to starajmy się kierować czynami naszemi w ten sposób, aby Ameryka

przyszłości usprawiedliwiła w swojej karierze żywoty wielkich ludzi w jej przeszłości. Każdy człowiek, który spełnia swój obowiązek jako mąż stanu albo jako prosty obywatel, oddaje pamięci Granta hołd największej wartości, jedynie jego godny. Mamy obecnie dosyć trudności i niebezpieczeństw; sposób, w jaki się wobec nich zachowamy, rozstrzygnie, czy jesteśmy lub nie godnymi potomkami ludzi z potężnej przeszłości. Nie powinniśmy się uchylać od obowiązków naszych na zewnątrz kraju pod pozorem, że mamy obowiązki—i to ważniejsze nawet—wewnątrz Stanów. Że te obowiązki są najważniejsze ze wszystkich, przyzna to łatwo każdy człowiek myślący. Powinniśmy spełniać nasze obowiązki względem nas samych i względem naszych braci w złożonym życiu społecznym współczesnym. Powinniśmy posiadać w sobie ducha szerokiej ludzkości, głębokiego miłosierdzia, kochającej dobroci względem bliźnich i powinniśmy równocześnie pamiętać, że duch ten jest wistocie absolutnym przeciwieństwem czystego sentymentalizmu, zup ludowych, filantropii pauperyzującej, oraz prawodawstwa, dyktowanego bądź to przez szaloną rzekomą dobroczynność, bądź też przez chciwość lub nienawiść klasową. Trzeba, abyśmy byli przeniknięci duchem sprawiedliwości i przekonaniem, że właściwym celem wysiłku jest praca, a nie próżniactwo.

Oczywiście, najważniejszą rzeczą jest dobrze wbić sobie do głowy, że upadniemy, jeżeli nie będziemy mieli równocześnie siły i cnoty. I wistocie, w starożytnym znaczeniu tego słowa cnota zawiera w sobie pojęcie siły i odwagi. Ludzie przenikliwi

na początku naszej ery poznali, że cnoty bierne same przez się nie mają wartości, że mądrość bez odwagi zwyrodniałaby wkrótce w chytrność, a odwaga bez moralności, w okrucieństwo bezlitośne, bezprawne, niszczące samo w sobie.

Rzymianin z żelaza stał się panem świata, bo odwadze barbarzyńców przeciwstawił odwagę równie srogą i inteligencyę nieskończenie bystrzejszą, podczas gdy jego rywale cywilizowani, Grecy i Kartagińczycy, chociaż jeszcze bystrzejsi umysłowo, pozwolili zepsuciu wgryźć się w ich świetne cywilizacye, aż zjadło je, jak rdza zjada żelazo. Krótko mówiąc, Rzymianin miał i charakter i umysł, i kiedy miał się zmierzyć z ludami niższego umysłu lub niższego charakteru, to ludy te upadły.

W miarę tego, jak rozwijają się i przechodzą stulecia, wieczne zagadnienie, które bez końca staje przed każdym człowiekiem i przed każdą rasą, bez końca zmienia swój kształt zewnętrzny, a pomimo to zawsze pozostaje tem samym. Istnieją niebezpieczeństwa pokoju i niebezpieczeństwa wojny, niebezpieczeństwa przesady w militaryzmie i niebezpieczeństwa uchylecia się od obowiązku, którego wyrazem jest militaryzm, niebezpieczeństwa powolnego i suchego gnicia i niebezpieczeństwa, które zaostwiają się tylko w czasie wielkich przesilen. Kiedy nadejdą te przesilenia, naród zwycięży lub utonie stosownie do tego, czy wytworzy lub nie takich mężów stanu, jak Lincoln, i takich wojowników, jak Grant, i stosownie do tego, czy będzie ich popierał, czy nie w ich wysiłkach. Nie potrzebujemy ludzi o świetnej

zmienności lub chwiejnej władzy — ludzi niezrównoważonych.

Ludzie, których nam potrzeba, to mężowie mocnego, poważnego i pewnego charakteru, posiadający cnoty domowe i łączący z temi cnotami surową odwagę, surową uczciwość i wysoką stanowczość. Grant ze swoim panowaniem nad sobą, umiarkowaniem i równowagą; Grant, który kochał pokój, a nie obawiał się wojny, który nigdy nie dobyłby miecza, gdyby mógł z honorem zatrzymać go w pochwie, ale który, raz dobywszy go, nie włożył go do pochwy, zanim lata znoju nie przyniosą okupu krwi — zwycięstwa; Grant, który po wygraniu bitwy nie miał innej ambicyi nad prowadzenie życia zwykłych Amerykanów i który myślał o prezydenturze tylko tak, jak Zachary Taylor albo Andrew Jackson—Grant był tym typem, na którym dzisiaj ludzie wzorować się powinni.

Jak już mówiłem, naszym pierwszym obowiązkiem, naszą główną pracą powinno być zaprowadzenie porządku w naszym własnym domu. Musimy być szczerzy wobec siebie samych, bo inaczej z czasem stalibyśmy się fałszywi wobec innych. Rzeczpospolita nie może być utrzymana, jeżeli uczciwość i przyzwoitość nie będą przeważały zarówno w życiu publicznem, jak prywatnem, jeżeli nie weźmiemy się poważnie do pracy, aby rozstrzygnąć straszne zagadnienia społeczne, które stawia nam przymusowo szerokie i zmiatające wszystko zmiany przemysłowe obu ostatnich pokoleń.

Ale rozpatrując życie Granta, musimy szczególnie pamiętać, że oprócz odrodzenia w życiu społec-

cznem i politycznem wewnątrz granic naszych, musimy również odpowiadać temu, co dzieje się po za niemi. Żadne stosunki przyjacielskie z innymi narodami, żadna przyjaźń dla nich lub z ich strony nie może zastąpić ufności narodu we własne siły. Żadne przymierze, żadne spokojne zachowanie się z naszej strony nie może zastąpić, w razie potrzeby, braku umiejętności utrzymania naszych praw mocną i stanowczą ręką. Musimy spełnić nasze przeznaczenie własnymi siłami. Naród, młody i silny, jak nasz, nie może zawsze pozostawać nieruchomym. Od czasu do czasu nadchodzi chwila, w której albo musi się skupić, albo rozszerzyć swój stan posiadania. Grant czuwał nad tem, abyśmy nie potrzebowali się ścisnąć i dlatego to musieliśmy się rozszerzać, kiedy nadeszła chwila nieunikniona.

Wielkie obowiązki stają przed nami na wy-
spach, gdzie powiewa obecnie sztandar gwiazdzisty
zamiast aroganckiego sztandaru Hiszpanii. Stoso-
wnie do tego, czy źle, czy dobrze spełnimy te obo-
wiązki, określimy swoje prawo do zajęcia miejsca
między wielkimi narodami świata. Musimy więc przy-
stąpić do nich w duchu Granta. Jeżeli zadanie to
przeraża nas, nadewszystko, jeżeli tchórzymy i zra-
żamy się każdą klęską lub każdym gwałtem prze-
kupniów sensacyi, okażemy się samiczkami, niego-
dnymi powoływania się na wspomnienie ludzi mo-
cnych, którzy walczyli aż do końca w wielkiej woj-
nie domowej. Jeżeli nie będziemy rządzili mądrze,
jeżeli rząd nasz nie będzie leżał w interesie ludów,
które dostały się pod naszą opiekę, to byłibyśmy
lepiej zrobili, nie kusząc się o to ponownie. Jako

naród powinniśmy wybierać naszych przedstawicieli na tych wyspach równie starannie, jak Grant wybierał generałów, którzy mieli służyć na najżywotniejszych punktach. Na szczęście, dotychczas zrobiono mądry wybór. Żaden naród nie wysłał nigdy lepszego człowieka nad tego, którego my posłaliśmy na Kubę, kiedy prezydent Mac Kinley mianował Leonarda Wooda generał-gubernatorem tej wyspy; a teraz wysyłając sędziego Tufta na czele komisji filipińskiej, prezydent znowu wybrał istotnie najlepszego człowieka, którego możnaby na ten cel wyszukać w Stanach Zjednoczonych.

Część wielkości Granta pochodzi i ztąd jeszcze, że brał zawsze fakty takimi, jakie były, a nie jakimi chciałby je widzieć sam. Na początku nie był on abolicjonistą i zapewne trudnoby mu było określić swoje poglądy na zakres zwierzchności państwa. Ale kiedy wybuchła wojna domowa, spostrzegł, że jedyną rzeczą do zrobienia jest bić się aż do końca i siłą broni ustalić prawo konstytucyjne, a zwalczyć buntowników. To samo dotyczy dziś ekspansyi. Nastąpiła — i nastąpiła, aby pozostać, czy chcemy tego, czy nie. Niektóre obowiązki spadają na nas jako spuścizna po wojnie z Hiszpanią i nie możemy odmówić ich spełnienia. Wszystko, co możemy postanowić, streszcza się w tem, czy spełnimy je dobrze, czy źle. Nie możemy opuścić Filipin. Musimy pozostać tam, zaprowadzić porządek, a następnie nadać mieszkańcom samorząd w takich rozmiarach, aby mogli korzystać z niego z powodzeniem. Nie moglibyśmy uciec nawet gdybyśmy chcieli. Musimy doprowadzić dzieło do pomyślnego zakończenia, po-

nieważ nie jesteśmy narodem samiczek. Jesteśmy ludźmi mocnymi i chcemy spełnić swój obowiązek.

Spełnić obowiązek!—oto jest treść i podstawa wszystkiego. Nie próbujemy zyskać sobie sławy. Nie próbujemy zrobić czegoś szczególnie świetnego i niezwykłego. Bierzemy się mocno do roboty około spełnienia każdego zadania, o ile się nadarzy, i próbujemy sprostać każdej trudności, jak Grant sprostał nieskończenie większym i niezliczonym trudnościom. Najpewniejszym środkiem powodzenia będzie wzięcie się do pracy w duchu, który cechował życie wielkiego wojownika: w duchu spełniania obowiązku, mocnego, uczciwego i lojalnego, sprawiedliwego a nieustraszonego postępowania względem wszystkich ludzi, i żelazne postanowienie nieporzucania nigdy raz rozpoczętego zadania przed doprowadzeniem go do pomyslnego i zwyciężkiego zakończenia.

XII

OBOWIĄZKI NARODOWE.

(Mowa wygłoszona na wystawie stanu Minnesota, 2 września 1902 r.)

W swojej znakomitej seryi studyów o zagadnieniach XIX stulecia dr. Lyman Abbott wykazał, że jesteśmy narodem pionierów; że pierwsi koloniści, którzy wylądowali na naszych wybrzeżach, byli pionierami, że pionierzy z pośród potomków pierwotnych pionierów, zmieszani z innymi, przybyłymi znowu ze starego świata, posunęli nasze gra-

nice na Zachód na pustynię i rzucili podwaliny pod nowe rzeczespolite. Byli to ludzie, pełni ufności i zdolności oczekiwania, przedsiębiorczości i energii, bo ludzie ograniczonego zadowolenia i tępej rozpaczcy nie mieli żadnego udziału w wielkim ruchu do Nowego Świata i poprzez jego przestrzenie. Kraj nasz został zaludniony przez pionierów i, co za tem idzie, ma w sobie więcej energii, więcej przedsiębiorczości, więcej mocy ekspansyjnej, niż którykolwiek inny na szerokim świecie.

Wy, do których się zwracam teraz, nie jesteście w większości bardziej oddaleni od tych pionierów, niż o jedno pokolenie. Jesteście Amerykanami typowymi, bo spełniliście dzieło wielkie, dzieło charakterystyczne, dzieło typowe dla naszego życia amerykańskiego.

Zakładając te ogniska domowe, stwarzając sobie i dzieciom swoim karyery życiowe, zbudowaliście ten Stan. Od początku do końca naszej historii powodzenie założyciela ogniska rodzinnego nie było niczem innym, jak tworzeniem narodu. Ludzie, którzy z siekierą w lasach, kilofem w górach i pługiem w preryach posunęli aż do ostatecznych granic panowanie ludu naszego nad pustynią amerykańską, nadali ostateczne kształty naszemu narodowi. Wykazali zalety śmiałości, wytrwałości i dalekowidztwa, zawziętego pragnienia zwycięstwa i upartego odpierania porażek, które przyczyniły się do utworzenia zasadniczej mężkości charakteru amerykańskiego. Nadewszystko — uznali w formie praktycznej podstawowe prawo powodzenia w życiu

amerykańskim—prawo pracy pełnej godności, prawo podniosłego i stanowczego wysiłku. Między naszymi ludźmi mamy bardzo mało miejsca dla nieśmiałych, niezdecydowanych i leniwych; niemniejszą prawdą jest to, że brak miejsca wogóle na świecie dla narodu, który, posiadając potężne mięśnie, nie śmie być wielkim. Zapewne, mówiąc do synów męźów, którzy istotnie dokonali twardego, ciężkiego i nieskończenie chwalebego zadania stworzenia z wielkiego Północo-Zachodu tego, czem jest obecnie, nie potrzebuję kłaść szczególnego nacisku na słuszność doktryny powyższej. W waszem własnem silnem życiu dowodziecie wszystkiemi waszemi czynami, jak mało macie cierpliwości dla tych, którzy nie widzą w życiu—wysiłku życia, nadewszystko wartego przeżycia. Czasami słyszymy słowa pełne zazdrości pod adresem tych, którzy nie pracują. Oczywiście leniwy dobrowolnie nie powinni budzić w pierśiach człowieka zdrowego innego uczucia silniejszego, niż uczucia pogardy—co najwyżej nie silniejszego ponad uczucie gniewnej pogardy. Uczucie zażłości zawierałoby w sobie uznanie niższości z naszej strony, do której nie mają prawa ludzie, nie znający bardziej surowych radości życia. Bieda jest rzeczą gorzką, ale nie tak gorzką, jak istnienie pełne niespokojnej próżni, oraz fizycznej, moralnej i intelektualnej rozlazłości, na jaką są skazani ci, którzy z dobrej woli spędzają lata swego życia na najbardziej pustem ze wszystkich pustych dążeń—na dążeniu do zwyczajnej przyjemności, jako celu samego w sobie. Mężczyzna dobrowolnie próżnujący, jak kobieta dobrowolnie bezpłodna, nie powi-

nien mieć miejsca w zdrowej, silnej i mocnej społeczności. Więcej jeszcze, nizki i wstrętny egoizm, który każde z nich wykazuje, niszczy nawet swój cel własny. Zupełnie tak samo, jak nieskończenie najszcześniejszą z kobiet jest ta, która nosiła pod sercem i wychowała wiele silnych dzieci, tak samo nieskończenie najszcześniejszym z mężczyzn jest ten, który znośnie i z powodzeniem pracował w dziele swego życia. Praca może być wykonana tysiącnie- mi sposobami — mózgiem, czy rękami, w gabinecie, w polu czy w sklepie, a my mamy tylko prawo zapytać, czy praca była uczciwa, czy była wykonana uczciwie i czy była warta wykonania. U nas każdy ojciec i każda matka, jeżeli są rozsądni, będą wychowywali swoje dzieci nie tak, aby unikały trudności, ale aby je spotykały i przewyciężały, aby nie wysiły się dla osiągnięcia życia nikczemnego wypoczynku, ale aby spełniały swoje obowiązki naj- pierw względem siebie samych i swoich rodzin, a następnie względem całego państwa,— a obowiązek ten musi przybrać postać pracy takiej, czy innej. Wy, synowie pionierów, jeżeli chcecie być wierni waszym przodkom, to musicie żyć z równą godnością, jak oni. Oni szukali prawdziwego powodzenia, a więc nie szukali wypoczynku. Oni wiedzieli, że powodzenie nawiedza tylko tych, którzy prowadzą życie pełne wysiłku.

Zdaje mi się, że proste przyjęcie tego faktu zasadniczego życia amerykańskiego, to przyznanie, że prawo pracy jest podstawowem prawem naszego istnienia, pomoże nam w rozważaniu kwestyi, jak mamy sprostać nie wielkiej liczbie zadań, które sta-

wia nam życie, wewnątrz, czy nazewnątrz kraju. Co się tyczy spraw wewnętrznych, to powinno was nauczyć pierwszorzędnej potrzeby pamiętania, że po wszystkim, co mówiono i czyniono, głównym czynnikiem powodzenia albo niepowodzenia każdego człowieka musi być jego własny charakter — to znaczy suma jego zdrowego rozsądku, odwagi, energii męskiej i zdolności. Nic nie może zastąpić tego czynnika indywidualnego.

Nie chcę ani na chwilę powiedzieć przez to, żeby nie można wiele zrobić, aby go zastąpić. Prócz tego, że każdy z nas pracuje, jako jednostka, mamy wszyscy pracę wspólną. Nie możemy oczywiście pracować możliwie najlepiej, jako naród, jeżeli wszyscy razem nie będziemy umieli działać w zrzeczeniu, tak samo jak indywidualnie na własny rachunek. Wspólne działanie może ukształtować się bardzo rozmaicie, ale formą jego najbardziej owocną będzie naturalnie forma prawa — czyli działanie społeczności wziętej w całokształcie za pośrednictwem ciała prawodawczego.

Ale nie zawsze można zapewnić pomyślność jedynie w drodze prawodawczej. Prawo może zrobić cośkolwiek dobrego, a złe prawo może zrobić nieskończenie wiele złego, ale ostatecznie najlepsze prawo może tylko zapobiegać krzywdzie i niesprawiedliwości i dawać tym, którzy patrzą daleko, oszczędnym i pracującym ciężko, więcej szans stosowania ich poszczególnych zdolności dla ich największego dobra.

Nie można nakreślić żadnej stałej i stanowczej granicy, gdzie zatrzyma się nasze prawodaw-

stwo w jego interwencji między człowiekiem, a człowiekiem, między interesami a interesami. Wszystko, co można powiedzieć, jest to, że z jednej strony wysoce niepożądanem jest osłabianie inicjatywy indywidualnej, a z drugiej, że w coraz to zwiększającej się ilości wypadków będziemy usiłowali ograniczyć spryt, jak w przeszłości ograniczaliśmy siłę. Jest rzeczą nietylko w wysokim stopniu pożądaną, ale i konieczną, aby istniało prawodawstwo w celu starannego opiekowania się interesami robotników i w celu przeprowadzenia różnicy na korzyść pracodawcy uczciwego i ludzkiego, usuwając szkodę, jaką ponosi przy porównaniu ze współzawodnikami, pozbawionymi skrupułów i sumienia, którzy będą postępowali dobrze jedynie w obawie kary.

Prawodawstwo nie może również ograniczać się wyłącznie tem, co nazywano zagadnieniami pracy. Wielkie majątki indywidualne i zrzeszone, szerokie kombinacje kapitałów, które cechują rozwój naszego systemu przemysłowego, stwarzają warunki nowe i z konieczności wywołują zmianę w dawnym stanowisku państwa i narodu wobec własności. Prawdopodobnie słusznem jest mniemanie, że znaczna większość majątków, które teraz istnieją w tym kraju, została zebrana bez krzywdy naszego ludu, ale jako rezultat przypadku, jako nagroda wielkich zysków za usługi oddane społeczności, i to bez względu na świadome cele tych, którzy zebrali majątki. Wrzawa, podnoszona przeciwko ludziom bogatym, jako takim, ma uzasadnienie niezmiernie tylko ograniczone; zdawałoby się niepotrzebnem stwierdzanie, że każde wezwanie, które pośrednio lub bezpośrednio dąży

do wywoływania zawiści i nienawiści pomiędzy nami, które dąży do ograniczenia możliwości, a co za tem idzie, zamknięcia wrót powodzenia uzdolnionym a ubogim ludziom, i które ostatecznie przypuszcza możliwość bezprawia i gwałtu, jest napaścią na zasadnicze cechy prawa obywatelstwa amerykańskiego. W gruncie rzeczy interesy nasze są wspólne: z biegiem czasu wznosimy się lub upadamy razem. A jednak coraz bardziej staje się widocznem, że państwo, a w razie konieczności naród, muszą mieć prawo nadzoru i kontroli w tem, co dotyczy wielkich zrzeseń, przezeń stworzonych, a szczególnie w tem, co dotyczy wielkich kombinacyj finansowych, które część swego znaczenia ciągną z tendencyj monopolistycznych. Prawo to winno być wykonywane ostrożnie i z wielkiem panowaniem nad sobą, ale powinnyby istnieć, aby można było powołać się na nie w miarę potrzeby.

Tyle o naszych obowiązkach każdego względem siebie samego i każdego wobec swoich bliźnich w granicach naszego własnego kraju. Ale ponieważ kraj nasz idzie naprzód wielkimi krokami i z coraz to zwiększającą się szybkością dąży do zajęcia pierwszego miejsca między mocarstwami świata, więc musi koniecznie natrafiać na coraz to większe obowiązki wobec świata. Mamy bardzo poczciwych ludzi, którzy sadzą, że możemy uchylić się od tych obowiązków, zachowując równocześnie poszanowanie samych siebie; ale ci poczciwcy są w błędzie. Inni zaci ludzie starają się sprowadzić nas z drogi surowego, ale wspaniałego obowiązku, zalecając nam, abyśmy pamiętali, że wszystkie narody, które doszły

do wielkości, które rozszerzały swoje panowanie i które odegrały rolę, jako mocarstwa wszechświatowe, zakończyły swoje istnienie. Tak było istotnie, ale zakończyły swoje istnienie także i inne. Państwa słabe i nie rozwijające się znikły z powierzchni świata równie stanowczo, a daleko prędzej, niż te, których obywatele posiadali w sobie pęd, który popycha dusze szlachetne do szlachetnych i wielkich wysiłków. Jest to tylko inny sposób stwierdzenia powszechnego prawa śmierci, które samo jest częścią powszechnego prawa życia. Człowiek, który pracuje, który dokonywa wielkich czynów, umrze w końcu równie napewno, jak największy próżniak, zajmujący miejsce na powierzchni ziemi, ale pozostawia za sobą ten wielki fakt, że dobrze spełnił dzieło swego życia. To samo stosuje się również do narodów. Jeżeli naród, który ośmielił się być wielkim, który miał wolę i władzę zmieniać przeznaczenia stuleci, musi w końcu zginąć,—niemniej pewnie musi umrzeć i naród, który odgrywał rolę samiczki; i podczas gdy naród, który nie zrobił nic, nie pozostawia za sobą nic, naród, który dokonał wielkiego dzieła, w istocie żyje dalej, żyje wiecznie, choć pod zmienioną postacią. Rzymianie przeszli przez scenę świata zupełnie tak samo, jak przeszły wszystkie narody starożytności, które stały w miejscu, podczas gdy oni się rozszerzali. Ale o tamtych pamięć nawet zanikła, podczas gdy Rzym jest zawsze siłą żywą od końca do końca szerokiego świata, w całej naszej cywilizacji współczesnej i tak będzie poprzez pokolenia bez liku w ciągu nieobliczalnych stuleci.

Ponieważ wierzymy z całego serca i z całej duszy w wielkość tego kraju, ponieważ czujemy w żyłach naszych tętno śmiałego życia i ponieważ ufamy, że nam przypada przywilej odegrania roli przeważnej w stuleciu, które się właśnie rozpoczęło, więc witamy z chciwą rozkoszą sposobność spełnienia jakiegokolwiek zadania, które Opatrzność włożyła na nasze barki. Z całą szczerością przyznajemy, że pierwsze nasze obowiązki są wewnątrz naszego domu; że powinniśmy nie tylko przemawiać, ale i pracować na korzyść prawości, przywoitości i sprawiedliwości we wszystkich sprawach politycznych, społecznych i obywatelskich. Żadne powodzenie i żadna sława nie mogą zbawić narodu, który gnije od środka. Musimy na zawsze zachować zdrowym rdzeń naszej istoty narodowej i czuwać nad tem, aby nietylko nasi współobywatele w życiu prywatnem, ale przede wszystkim nasi mężowie stanu w życiu publicznem praktykowali stare, banalne cnoty, które od niepamiętnych czasów były podstawą wszelkiego prawdziwego szczęścia narodu. A jednak, aczkolwiek jest to naszym pierwszym obowiązkiem, nie jest jedynym. Zupełnie tak samo, jak każdy człowiek, który spełnia przede wszystkim obowiązki swoje względem żony i dzieci, u swego ogniska domowego, jeżeli chce dojść do czegoś, musi jeszcze mocno walczyć na świecie, po za granicami własnego domu, tak samo i nasz naród, czuwając przede wszystkim nad swoim własnym szczęściem domowem, nie może odmawiać sobie odegrania roli między wielkimi narodami, na zewnątrz kraju. Nasz obowiązek może przybrać w przyszłości różne kształty, jak różne przybierał w przeszło-

ści i niepodobna stworzyć stałej i twardej reguły na wszystkie wypadki. Musimy zawsze sprostać naszym zmiennym potrzebom narodowym, nieustannie zmieniającym się okolicznościom życia. Ale możemy być pewni jednego: Czy będziemy chcieli lub nie, nie możemy odtąd uniknąć spełniania obowiązków względem innych narodów. Wszystko, co możemy zrobić, ogranicza się do postanowienia, czy będziemy je spełniali dobrze, czy źle. W tem miejscu właśnie pozwólcie mi wnieść najsilniejszą, jaką mogę, obronę reguły, że powinno się zawsze mówić to, co się myśli i że powinno się bez wahania usiłować pogodzić czyny ze słowami, jakiegokolwiekby te być miały. Wielu z nas zapewne zna stare przysłowie: „mówcie cicho, a noście w zanadru grubą laskę—zajdziecie daleko”. Jeżeli człowiek jest nieustannie fanfaronem, jeżeli brak mu grzeczności, to gruba laska nie obroni go od nieprzyjemności; tak samo nie pomoże mu cicha i łagodna mowa, jeżeli po za łagodnością nie kryje się siła, potęga. W życiu prywatnem mało jest ludzi tak potępiania godnych, jak ludzie, którzy idą przez nie, wychwalając się głośno, a jeżeli samochwalca nie jest przygotowany na poparcie swoich słów, stanowisko jego staje się absolutnie godnem pogardy. To samo stosuje się i do narodu. Pozwalać sobie na niewłaściwie samochwalstwo, a zwłaszcza na wyuzdane wyzywanie innych narodów jest rzeczą głupią i niegodną. Ilekroć na jakimkolwiek bądź punkcie zetkniemy się z obcem mocarstwem, ufam, że będziemy usiłowali mówić o niem grzecznie i z uszanowaniem. Niech będzie widocznem, że każdemu pragniemy oddać sprawiedliwość, a potem postarajmy się, aby było widocznem, że

nawzajem nie będziemy tolerowali niesprawiedliwości względem siebie. Niech będzie widocznem, że nie używamy żadnych słów, których nie jesteśmy gotowi natychmiast poprzeć czynami i że, jeżeli mowa nasza jest zawsze umiarkowaną, to jesteśmy gotowi i zdecydowani pełnić to, o czem mówimy. Takie stanowisko będzie możliwie najpewniejszą rękojmią tego pokoju, opartego na poszanowaniu samych siebie, którego utrzymanie powinno być pierwszym celem narodu rządzącego się samodzielnie.

Oto jest stanowisko, jakie zająć winniśmy wobec doktryny Monroe'go. Nie ma zupełnie potrzeby mówić o niej hałaśliwie. Tem mniej powinna być używana ta doktryna, jako pretekst do naszego własnego powiększenia kosztem jakiegokolwiek państwa amerykańskiego. Ale bardzo energicznie musimy wyjaśniać, że na tym punkcie chcemy zachować dawne położenie Ameryki. Istotnie, trudno zrozumieć, jakim sposobem ktokolwiek mógłby zająć stanowisko inne dziś, kiedy wszyscy oczekujemy przekopania kanału Panamskiego. Doktryna Monroe'go nie jest prawem międzynarodowem, ale też niema potrzeby, aby zmieniła swój charakter. Trzeba tylko, aby w dalszym ciągu była główną podstawą polityki amerykańskiej na lądzie stałym. Państwa hiszpańsko-amerykańskie we własnym interesie powinnyby się stać równie żarliwymi jej obrońcami, jak my sami. Przez tę doktrynę nie rozumiemy wcale popierania jakiegokolwiek polityki zaczepnej którejkolwiek rzeczypospolitej amerykańskiej względem innej, ani jakiegokolwiek wyróżnienia handlowego, skierowanego przeciwko jakimkolwiek państwu obcemu.

O ile chodzi o zastosowanie powyższej doktryny na polu współzawodnictwa handlowego, żądamy tylko równych praw i żadnych przywilejów. Ale, jeżeli jesteśmy mądrzy, to będziemy kładli energiczny nacisk na to, ażeby pod żadnym pozorem nie nastąpiło żadne powiększenie terytoryalne żadnego państwa europejskiego na gruncie amerykańskim, bez względu na to, jaką postać przybrałoby to powiększenie.

Wierzmy i ufamy mocno, że szanse jakichkolwiek wrogich komplikacyj wojennych z jakimkolwiek obcym państwem są bardzo małe. Ale jest rzeczą prawie nieuniknioną, że tu i owdzie wskutek współzawodnictwa rolniczego, handlowego, czy przemysłowego, może nastąpić jakieś naprężenie stosunków, jakiś zatarg. I wtedy jeszcze powinniśmy pamiętać, że pierwszym naszym obowiązkiem jest obowiązek względem własnego narodu, że jednak najlepiej możemy otrzymać sprawiedliwość, postępując sami sprawiedliwie. Powinniśmy dalej prowadzić politykę, która okazała się tak świetnie szczęśliwą w przeszłości i tak zorganizować nasz system ekonomiczny, żeby zapewnić wszelkie korzyści zręczności, energii, inteligencji naszych rolników, kupców, przemysłowców i robotników; a jednak powinniśmy także pamiętać, układając się z danymi narodami, że trzeba dawać korzyści tam, gdzie się samemu zysków szuka. Niepodobna jest dogmatyzować w sprawie ścisłego środka osiągnięcia tego celu, bo nie można ściśle przepowiedzieć okoliczności. Na dłuższą metę jedną z naszych najważniejszych potrzeb jest stałość i ciągłość poli-

tyki ekonomicznej, a przecież w pewnych wypadkach może okazać się korzystnym uzupełnienie naszej obecnej polityki systemem zysków i zobowiązań wzajemnych, za pomocą czy to traktatów, czy też prawodawstwa bezpośredniego.

W znacznej części naszej karyery narodowej, historia nasza była historią ekspansji, która była w różnych czasach różną. Ekspansja ta nie może być przedmiotem żalu, ale przedmiotem dumy. Daremnie mówić dzielnemu ludowi, jak nasz, że duch przedsiębiorczości nie jest pewny. Prawdziwy Amerykanin nigdy nie obawiał się narażać na niebezpieczeństwa, kiedy cel do osiągnięcia był wart tego. Żaden naród zdolny do samorządu i do rozwijania własnymi wysiłkami cywilizacji zdrowej i uporządkowanej, choćby była nie wiem jak dobrą, nie ma powodu obawiać się czegokolwiek z naszej strony. Dowodzi tego nasze postępowanie na Kubie, które może pozostać na zawsze przedmiotem słusznej dumy narodowej.

Nie przemawiamy zupełnie w duchu bezczelności, kiedy stwierdzamy poprostu fakt, że nigdy w czasach obecnych żaden wielki naród nie postępował z większą bezinteresownością, niż my na Kubie. Wyzwoliliśmy wyspy z jarzma hiszpańskiego, poczem z zapalem, w miarę sił naszych, staraliśmy się pomagać kubańczykom w zapewnieniu wolności nauczania, zabezpieczeniu prawa i porządku, pomyślności materialnej, czystości, niezbędnej dla dobrobytu ich wielkich miast. Uczyniliśmy to wszystko wielkim kosztem pieniędzy i niejakim kosztem życia; teraz zaś urządzamy ją jako rzeczpospolitą

wolną i niepodległą; i wzamian za to nie żądaliśmy nic, z wyjątkiem tego, ażeby wolność nie była nigdy naruszona na korzyść niektórych z naszych obcych rywali, ani w sposób, który zagrażałby naszemu położeniu. Gdybyśmy tego nie byli zażądali, byłby to dowód naszego ogłupienia narodowego. Filipinom przynieśliśmy z sobą pokój, a w tej chwili dajemy im wolność i samorząd w takim stopniu, jakiego nie osiągnęłyby w żadnych wymarzonych okolicznościach, gdybyśmy pozwolili im utonąć lub tarzać się dobrowolnie we krwi i chaosie, gdybyśmy pozwolili, aby się stały łupem jakiejś silnej tyranii wewnętrznej, czy zewnętrznej.

Nagi opis faktów jest wystarczający, aby dowieść, że spełniliśmy swój obowiązek, a jakiż jest bardziej zaszczytny tytuł dla honoru narodowego, jeżeli nie spełnienie obowiązku? Spełniliśmy obowiązek nasz względem nas samych i spełniliśmy wyższy jeszcze obowiązek, posuwając naprzód sprawę cywilizacji ludzkości. Najglówniejszą podwaliną cywilizacji jest prawo. Anarchia jest poprostu służą i zwiastunką tyranii i despotyzmu. Prawo i porządek, wzmacniane przez sprawiedliwość i potęgę, są podstawami cywilizacji. Prawo musi opierać się na cywilizacji, inaczej bowiem nie może być utrzymane i musi być wzmocnione nieugiętą stanowczością, bo słabość, brak mocy oznacza w końcu, że nie ma ani prawa, ani sprawiedliwości, nie, tylko reguła siły nieporządnej i bez skrupułu. Bez przyzwyczajenia do porządnego posłuszeństwa prawu, bez surowego przestrzegania praw kosztem tych, którzy ośmielają się im sprzeciwiać, nie ma możli-

wości żadnego postępu cywilizacji, moralnego, ani materyalnego. Jeżeli chcemy, ażeby nam się powodziło stale, nie może nastąpić najmniejsze osłabienie ducha popierania prawa tu-u nas; równocześnie nie możemy wykazywać żadnej słabości na zewnątrz. Bezprawie i anarchia zostały wykorzenione na Filipinach, jako przedwstępny warunek konieczny do wprowadzenia rządów sprawiedliwości.

Barbarzyństwo nie może mieć żadnego miejsca w świecie cywilizowanym. Naszym obowiązkiem względem ludów, żyjących w barbarzyństwie, jest czuwanie nad tem, aby zostały wyzwolone ze swoich oków, a możemy je wyzwolić tylko niwecząc barbarzyństwo. W tej destrukcyi i w następnem podniesieniu ludu mają swoje zadania do spełnienia i missyonarz i kupiec i żołnierz. Zupełnie tak samo, jak jest obowiązkiem mocarstwa cywilizowanego skrupulatnie szanować prawa wszystkich mocarstw cywilizowanych słabszych i radośnie pomagać tym, które walczą o podniesienie się do poziomu cywilizacji, tak samo mają one obowiązek zwalczać dzikość i barbarzyństwo. Ponieważ w dziele podobnem trzeba używać jako narzędzi ludzi, a narzędzia te są niedoskonałe, więc czasami będzie panowała niesprawiedliwość: czasami kupiec, żołnierz, a nawet misyonarz mogą postępować źle.

Trzeba natychmiast potępić i naprawić zło, jeżeli się dzieje; trzeba ukarać winnego, jeżeli to możliwe. Ale hańba, trzykrotna hańba nam, jeżeli w takich przypadkowych nadużyciach szukamy usprawiedliwienia, ażeby uniknąć spełnienia wielkiego i sprawiedliwego zadania. Nie tylko na naszej własnej ziemi, ale od końca do końca świata, od

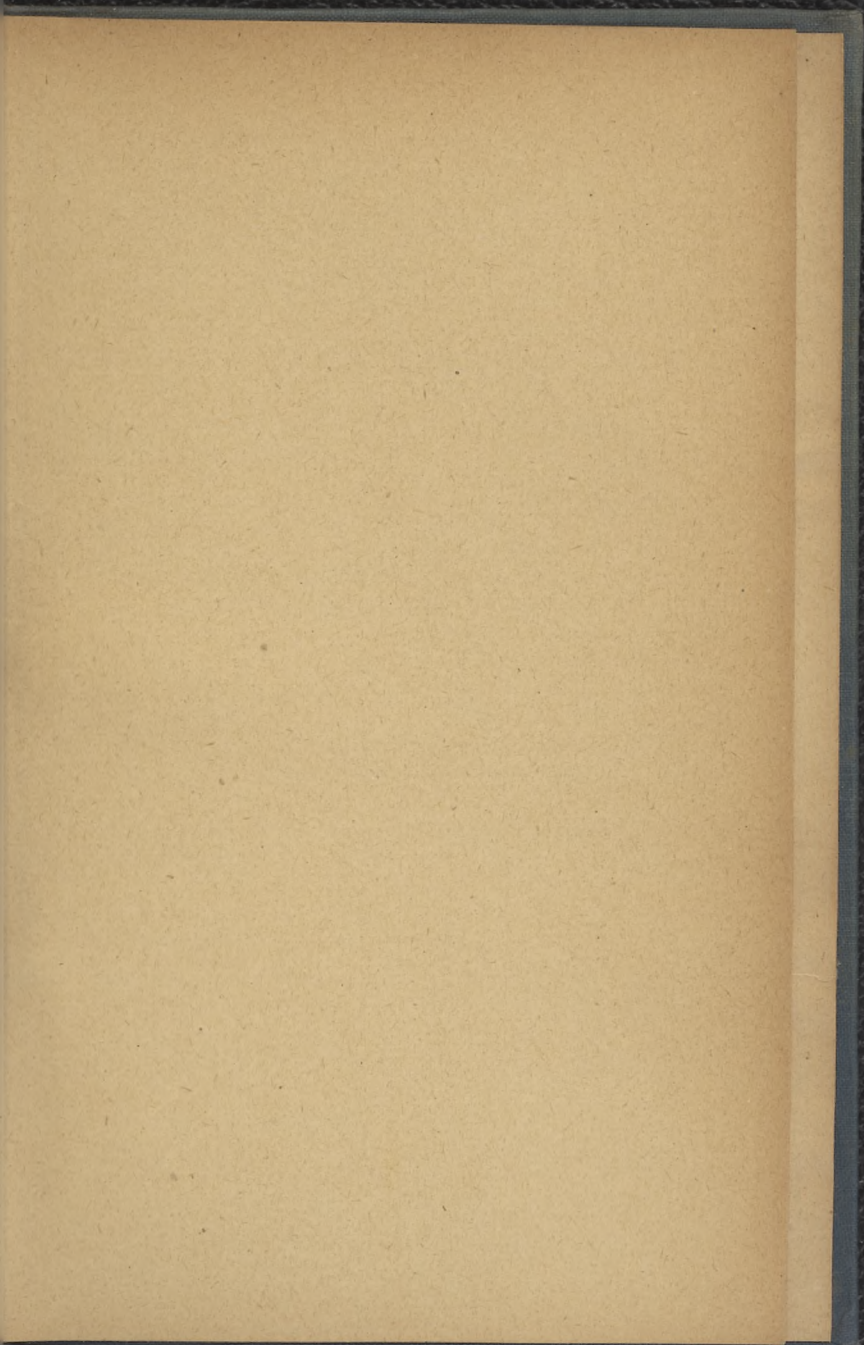
krańca do krańca historii, postęp cywilizacji był nieobliczalnym zyskiem dla ludzkości, a ci, którzy przyczyniali się do tego postępu, zasługują na cześć najwyższą. Cześć misjonarzowi, cześć kupcowi, którzy dziś nawet, za dni naszych, zrobili tak wiele, aby wprowadzić promienie światła do ciemnych zakątków świata.

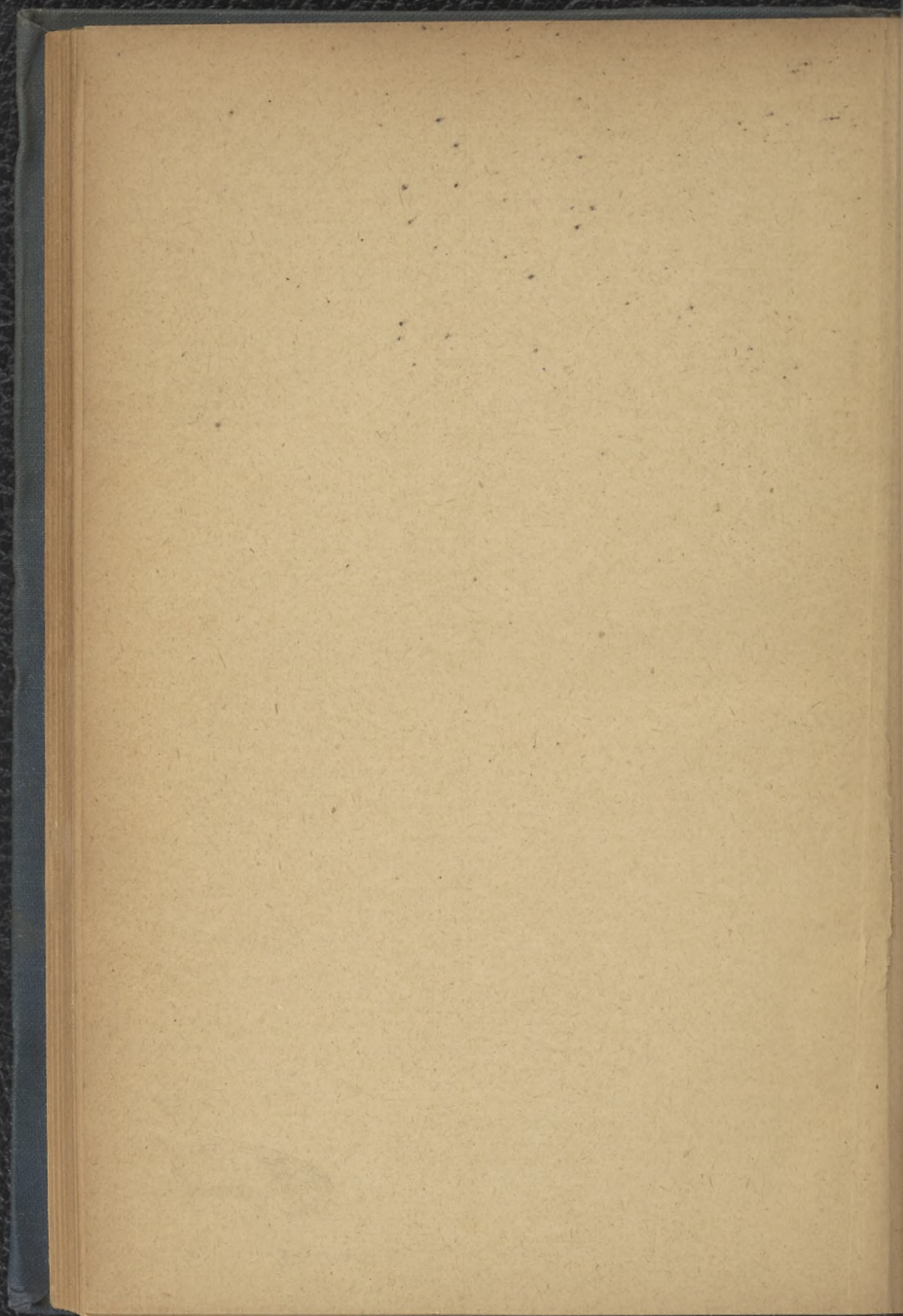
W dziele, które spełniliśmy dotąd, zastosowaliśmy tylko w praktyce prawdziwe zasady naszej demokracji. Pracujemy w duchu samorządu względem nas samych i dobrej woli względem innych, w duchu miłości ludzkości i nieskończonej w nią wiary. Nie zrzekamy się ślepo zaradzenia niedolom, które istnieją, albo brakom, właściwym ludzkości; ale poprzez niedopatrzienia i pomyłki, poprzez egoizm i poziomość motywów, poprzez krótkowidztwo i tchórzostwo, zwracamy uparcie oczy nasze ku horyzontowi złotego tryumfu. Jeżeli zechcecie badać naszą przeszłą historię, jako narodu. przekonacie się, że popełniliśmy wiele błędów i zawiniliśmy wielu niedostatkami, a przecież zawsze w końcu wychodziliśmy zwycięsko, bo nie pozwalaliśmy zgnieć się błędom i porażkom, naprawialiśmy je i pomimo nich trwaliśmy. Tak być ma i w przyszłości. Jako naród przypasujemy miecz do boku z mocnym zamiarem męskiego odegrania naszej roli dla ostatecznego tryumfu; dlatego to odwracamy się z pogardą od dróg lenistwa i wypochnięcia, walcząc w imię dobra i przeciwko złemu jak Wielkie Serce walczył w nieśmiertelnym opowiadaniu Bunyana.

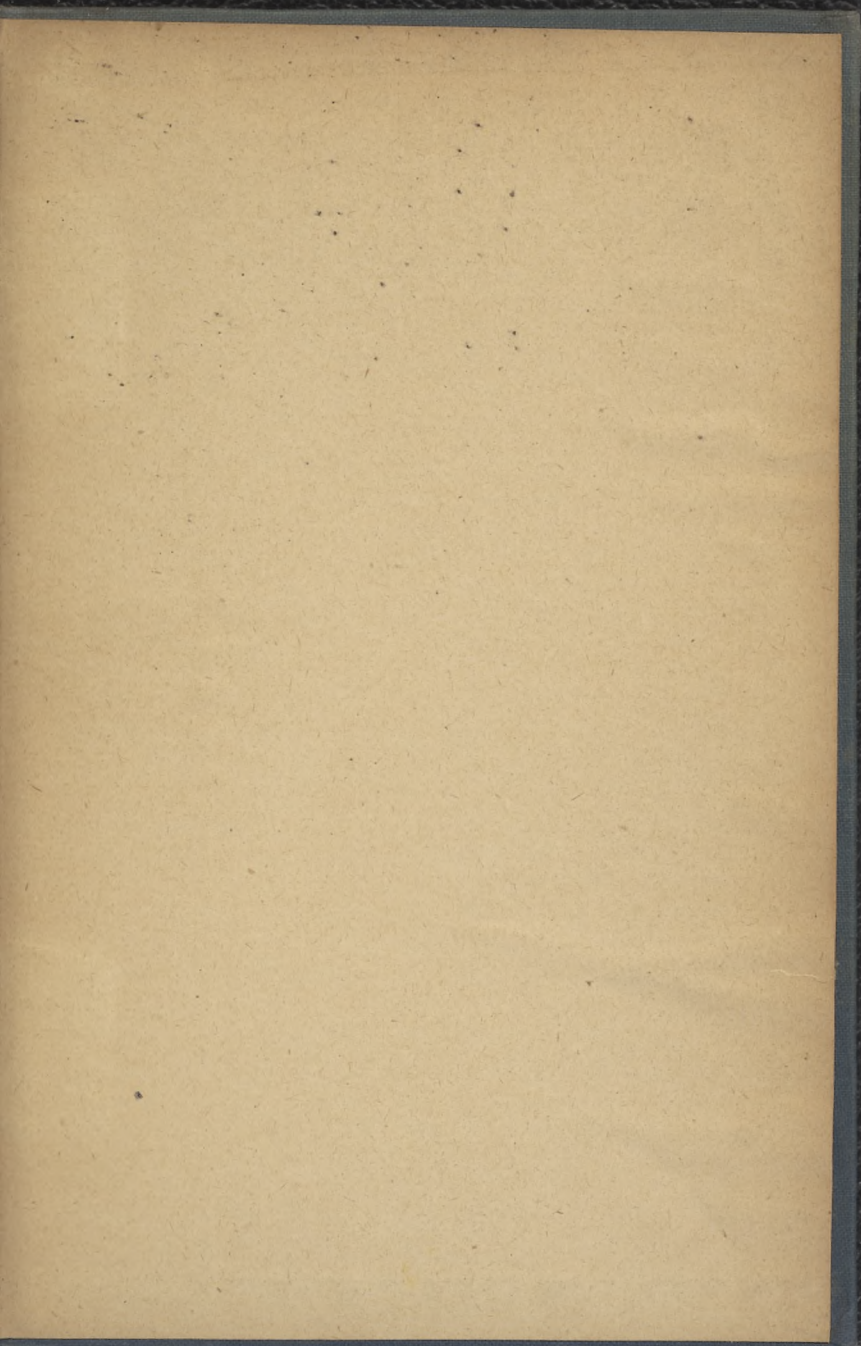


SPIS RZECZY

	<i>Str.</i>
Przedmowa	5
I. Życie wyteżone	7
II. Ekspansya i pokój	25
III. Długość i szerokość między reformatorami	37
IV. Koleżeństwo, jako czynnik polityczny.	56
V. Pomoc obywatelska	76
VI. Charakter i powodzenie	92
VII. Siódme i ósme przykazanie w polityce	101
VIII. Dobre i lepsze	106
IX. Obietnica i wykonanie	111
X. Chłopiec amerykański.	119
XI. Grant	128
XII. Obowiązki narodowe	144









2071266

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001850694